

MEMORIAŁ
Generał Marii Wittek

zmienna teści



obrot

01-861 W-32

++
DRAMIŃSKA Wanda W-w

2 d. Bogusławska

ps. "Ize"
"Madrzew"

1037/WSK

++

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — DRAMINSKA Wanda
2d. Bogusławska

1037 | WSK

I. Materiały dokumentacyjne

- I/1 – relacja właściwa ✓ k. 25, s. 1-26
- I/2 – dokumenty (sensu stricto) dot. osoby relatora
- I/3 – inne materiały dokumentacyjne dot. osoby relatora

II. Materiały uzupełniające relację ✓ k. 2, s. 1-2

III. Inne materiały (zebrane przez „relatora”): ✓

- III/1 – dot. rodziny relatora ✓ k. 6, s. 1-6
- III/2 – dot. ogólnie okresu sprzed 1939 r. —
- III/3 – dot. ogólnie okresu okupacji (1939-1945) ✓ k. 14, s. 1-14
- III/4 – dot. ogólnie okresu po 1945 r. —
- III/5 – inne... —

IV. Korespondencja ✓

.....

.....

.....

.....

V. Wypisy ze źródeł [tzw.: „nazwiskowe karty informacyjne”] ✓

VI. Fotografie brak

1/1 Relacja

- <http://www.geocities.com/wandabd/> - strona historyczna Wandy B.-D. pseudonim powstaniecy "Iza - Modrzew", 29.03.2001, k. 3, s. 1-3
- <http://www.geocities.com/wandabd/wojna.htm> - Wojna, 24.07.2001, k. 16, s. 4-20
- <http://www.geocities.com/wandabd/osw1.htm> - Przeżycia kobiety w cięży w oświęcimiu, 29.03.2001, k. 6, s. 21-26



Ih-1

Strona historyczna Wandy B.-D. pseudonim powstańczy "Iza- Modrzew"

Czytelniku: to strona nietypowa. Zawiera wspomnienia z czasu wojny i okupacji, notki o ludziach których trzeba ocalić od zapomnienia, komentarze do zdarzeń współczesnych.

Wanda B.-D., urodzona w Wilnie w 1923 r. w polskiej rodzinie inteligenckiej o tradycjach patriotycznych. W wieku 17 lat ostatni raz przebywa w swym ukochanym Wilnie, lata okupacji spędza w Warszawie. Zapisuje się na Tajny Uniwersytet, gdzie studiuje filologię słowiańską. Tu poznaje swego przyszłego męża, Jerzego, którego poślubia w 1943 roku. Jerzy D. był synem chrzestnym marszałka Józefa Piłsudskiego, studiował na Wydziale Konsularno-Dyplomatycznym Uniwersytetu Poznańskiego. Na początku sierpnia 1944 r. oboje walczą w Powstaniu Warszawskim na ul. Filtrowej, a w ich mieszkaniu urządzony jest punkt sanitarny. 10 sierpnia, wraz z grupą powstańców, zostaje schwytana przez hitlerowców. Trafia najpierw na "Zieleniak", gdzie jest świadkiem potwornych zbrodni, następnie zostaje wcielona do transportu do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Po raz ostatni widzi swego poślubionego rok wcześniej męża, całą rodzinę... W obozie walczy o przeżycie dla siebie i swego nie narodzonego dziecka, przeżywa gehennę, którą spisze 50 lat później. W 1945 roku zostaje wyzwolona przez Armię Czerwoną, trafia do Krakowa gdzie rodzi się jej córka Ewa, następnie wraca do Warszawy, gdzie mieszka do dziś.

Wanda D. jest pogodnym, głęboko wierzącym człowiekiem. Całe życie dzielnie stawiała czoło wyzwaniom. Pomogła dziesiątkom ludzi, zawsze jest gotowa wysłuchać i doradzić. Od kilku lat spisuje wspomnienia. Żywo uczestniczy w bieżących zdarzeniach. Pasjonuje się historią walk Armii Krajowej na Wileńszczyźnie i Nowogródczyźnie, pragnie ocalić od zapomnienia ludzi - prawdziwych bohaterów, takich, jakich już nie ma, tych, którzy w dobrej sprawie oddali to, co mieli najcenniejszego, własne życie.

Poniżej zamieszczony jest wybór tekstów jej autorstwa, na czele z pasjonującym opisem pobytu w Oświęcimiu. Niektóre teksty mogą zawierać powtórzenia.

Prawa autorskie zastrzeżone.

1. Przeżycia kobiety w ciążę w Oświęcimiu
2. Losy mojej rodziny w czasie II Wojny światowej
3. WOJNA

Wspomnienia o bohaterach z czasów wojny i okupacji

1. Wspomnienie o moim kuzynie Janie Kazimierzu Mackiewicz ps. "Kordian"
2. Zdzisław Nurkiewicz

7/1-2

3. Pułkownik Adolf Pilch
4. Iza Godlewska
5. Janina Stefkowa
6. Jadwiga Bałabuszko-Sławińska
7. Bronisława Choryń
8. Irena Baranowska
9. Sabina Kalinowska
10. Porucznik Stanisław Mateusz Winter
11. Porucznik kawalerii Jerzy Piestrzyński "Helski" i porucznik piechoty Franciszek
12. Kapral Stefania Burak
13. Maria Czaińska
14. Halina Drucko-Podbereska
15. Siostry Nazaretanki z Nowogródka
16. Wspomnienie o Irenie Molak

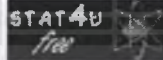
Inne teksty:

1. O kaplicy Matki Boskiej Ostrobramskiej
2. Pamiętam...
3. Ponary
4. Zgrupowanie Stołpecko-Nalibockie walczy w Powstaniu Warszawskim
5. Sztandar

Kontakt e-mail: wandabd@yahoo.com

Linki:

1. [Wiatowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej Zarząd Okręgu Wileńskiego w Warszawie](#)
[Rodowisko Wileńskie w Gdańsku](#)



Od: wacek <wacek@uni.torun.pl>
Do: fapak@poczta.onet.pl <fapak@poczta.onet.pl>
Data: 28 marca 2001 21:39
Temat: "iza-modrzew"

proszę zajrzeć
<http://www.geocities.com/wandabd/>
w Informatorze nie ma pseudo "iza-modrzew"

;-)

zdrówko

e.poczta: wackur@wp.pl

(<http://wacek.of.pl>)

.....
motto e.poczty: „Ile po to,
żebyI przejrzał(a)”



WOJNA

19 sierpnia 1939 wróciłam do Warszawy po spędzeniu sześciu ostatnich tygodni wakacji nad morzem. Następnego dnia wyjechałam do babci do Wilna, a po dwóch dniach do wujostwa mieszkających w Lachowiczach pod granicą polsko-sowiecką, za Baranowiczami. Wuj był tam lekarzem.

Już w Wilnie czuło się niepokój i zagrożenie wojną, choć jednocześnie wszyscy twierdzili, że w jej wybuch nie wierzą. W Lachowiczach spędziłam kilka dni i właśnie szykowałam się do powrotu do domu, do szkoły, gdy nadeszła depesza od Mamy: mam pozostać w Lachowiczach. Więc pozostałam. 1 września, w dniu wybuchu wojny, już wiedziałam, że nieprędko wrócę do Warszawy. Wszyscy w Lachowiczach słuchaliśmy radia. Nadchodziły wiadomości niepokojące. Choć nasze wojsko biło się dzielnie wiedzieliśmy, że musi cofać się przed lawiną niemiecką. Trwało bombardowanie Warszawy, uciekający szosami i drogami cywile rażeni byli ogniem bomb i karabinów maszynowych. Wiadomości z radia i prasy lokalnej mówiły o olbrzymich stratach, o bohaterstwie i determinacji obrońców każdego skrawka polskiej ziemi.

Nadszedł dzień 17 września, trzecia niedziela wojny. Rano poszłam na Mszę do kościoła stojącego na krańcu Lachowicz, jakby już poza miasteczkiem. Między ostatnimi domami a plebanią i kościołem rozciągały się plantacje truskawkowe (nigdy w życiu nie jadłam równie smacznych truskawek, pamiętam ich smak do dzisiejszego dnia). Już wracałam po nabożeństwie do domu, kiedy minęli mnie szybko jadący na rowerach policjanci. Na rynku podbiegł do mnie właściciel apteki ze słowami: "Panienko, proszę powiedzieć panu doktorowi, że idzie armia bolszewicka, uciekajcie!". Przyspieszyłam kroku, weszłam na ulicę mostową. Był tu drewniany mostek na rzeczce, którym zwykle jeździły furmanki, rzadko samochody. Teraz z przeciwnej strony szedł pochód z czerwonymi flagami. To komuniści białoruscy szykowali się do powitania Armii Czerwonej. Nie byli agresywni. Śpiewali tylko "Międzynarodówkę". Wujostwo już wiedzieli, co się dzieje, ale postanowili nie uciekać. W piwnicach i różnych zakamarkach domu ukryli tylko cenniejsze rzeczy, dywany, futra. I czekali, co dalej nastąpi. Nie czekaliśmy długo. Na ulicy pojawił się pierwszy oddział sowieckiej armii. Patrzyliśmy na żołnierzy ze zdumieniem: niektórzy zamiast butów mieli na nogach onuce, a karabiny przewieszane przez ramię na sznurkach. Wieczorem nadeszli sowieccy oficerowie, a następnego dnia politycy. Ci nie milczeli jak inni, ale gadali jak z nut. Odtąd mieliśmy ich w domu co wieczór. Rozmawiał z nimi tylko wujek, który świetnie znał rosyjski (jako młody lekarz brał udział w wojnie rosyjsko-japońskiej). My wszyscy, pozostali domownicy, łącznie ze służbą, której nasi "goście" kazali zbierać się w pokoju, nie odzywaliśmy się - zgodnie z poleceniem wujka. W Lachowiczach nic na razie złego się jednak nie działo. Wujek normalnie pracował w ośrodku zdrowia, lecząc Polaków, Białorusinów, Tatarów i Żydów, tak jak przed 17 września. Czuło się jednak, że spokój jest tylko pozorny. Polacy na Kresach w większości znali bolszewików "od podszewki". Część walczyła z nimi w 1920 r., część osiadła tu po przeżyciu rewolucji. Teraz kto mógł, szykował się do wyjazdu do Generalnej Guberni. Niemcy wydawali nam się mimo wszystko "mniejszym złem". Mówiło się o jakiejś wymianie na granicy. Bardzo niepokoiłam się o rodzinę w Warszawie i pragnęłam wyjechać już z Lachowicz.

Mniej więcej w połowie listopada zgłosiła się do wujka pielęgniarka z Warszawy, prosząc o pomoc w sprowadzeniu z okolicy jej siostrzenicy z dzieckiem. Miała dla nich przepustkę potrzebną na przejazd koleją po stronie sowieckiej. Wiek dziecka na przepustce nie był podany. Okazało się, że to dziecko ma pół roku. Wujostwo zdecydowali, że wobec tego dzieckiem wymienionym na przepustce mogą być ja. Pożegnałam rodzinę, wieczorem wsiadłyśmy z tymi paniami do pociągu. Może nie tyle

wsiadłyśmy, co udało nam się wcisnąć. Pasażerowie ścieśnili się, ale nie pozwolili zapalić światła. Jak mówili - ze względu na nasze bezpieczeństwo. Co jakiś czas do przedziału wchodził młodzi ludzie z pistoletami. Przyglądali się pasażerom i bagażom, zabierali bez słowa bardziej zasobne, kazali ludziom rozbierać się z wierzchniej odzieży. Nierzadko padał też strzał, po którym ciało wyrzucano z pociągu. Widziałam trupy leżące przy torach. Kim byli ci mordercy? Nie padało ani jedno słowo, które mogłoby ich zdekonspirować, ale wszyscy byliśmy pewni, że ten rozbój to dzieło sowieckie.

W Zaręczach Kościelnych przeszłam "zieloną granicę". Ruch był tu wielki. Na wschód uciekali Żydzi, na zachód ci, którzy znali sowiecki raj... Pod koniec listopada 1939 r. wróciłam do domu do Warszawy. Nie przypuszczałam, że opuściłam moje kochane Kresy na zawsze. Po szoku, jakim było oblężenie i zdobycie Warszawy, życie z miesiąca na miesiąc zaczynało się organizować. Wstawiano wybite szyby. Były takie całe rodziny, które się tym zajmowały. Inteligencja wzięła się też za handel, wypiek bułeczek, produkcję mydła. Na targowiskach pojawiały się towary ze wsi: słonina, kiełbasy, mięso. Organizowało się też życie podziemne.

Na ulicy Uniwersyteckiej 4 mieszkała drobna, siwa, pochylona starsza pani, działaczka Polskiego Czerwonego Krzyża. Nazywała się, zdaje się, Stabrowska. Była krewną słynnego malarza, Stabrowskiego. Chodziłam z nią do szpitala Ujazdowskiego, gdzie leżeli ranni polscy oficerowie i żołnierze. Nosiliśmy tam kociołki z zupą, jabłka, chleb, i przemycałyśmy ciepłe skarpety, buty, rękawiczki, swetry, spodnie. Pod koniec grudnia albo na początku stycznia 1940 wyprowadziłam ze szpitala podchorążego albo oficera. Pamiętam ciężką drogę z pawilonu szpitalnego do bramy, bo on był jeszcze bardzo słaby. Pamiętam, że szliśmy Koszykową na Natolińską pod wskazany adres. Chyba w lutym Niemcy szpital zamknęli, a rannych skierowali do stalagów i oflagów.

W domu sąsiadującym z rodzinną apteką mieszkała rodzina Straszyńskich. Olgierd, muzyk - dyrygent z żoną - śpiewaczką i małym synkiem, Andrzejkiem, który dziś dyryguje orkiestrą Opery Warszawskiej. Jego siostra Irena - była wieloletnim wykładowcą matematyki w gimnazjum imienia Marii Konopnickiej. Wanda Bosacka, z domu Straszyńska, siostra Olgierda i Ireny, muzyk, uczyła mnie gry na fortepianie i była moim dowódcą w Armii Krajowej.

W lutym 1942 roku zaczęłam naukę w tajnym liceum im. Marii Konopnickiej, kierunek humanistyczny. Nadrobiłam materiały, które przerobiono od września. Zostałam promowana do drugiej klasy, a w czerwcu 1943 r. zdałam maturę. Powracając myślami do tamtych czasów, wspominam tą niezwykłą atmosferę, która panowała na kompletach. Nasi nauczyciele to byli wspaniali ludzie, o dużej wiedzy. Traktowali nas ciepło, naprawdę chcieli nam przekazać jak najwięcej wiedzy. My z kolei, młodzi, jeszcze jako ludzie niezupełnie ukształtowani w charakterach, traktowaliśmy ich z ufnością, jak swoich bliskich. Wierzyliśmy w te same ideały. Nauczyciele byli przedstawicielami podziemnego Państwa Polskiego, jego Ministerstwa Oświaty, a my byliśmy żołnierzami tego państwa. Profesorowie: Płoszewski, Straszyńska, Neufeld, Majkowska, Obarska, Landy pozostaną na zawsze w mojej pamięci. Tak jak i moje koleżanki: Stefa Reszke, Krysia Grabowska, Mirka Jaszczak-Rzepkiewiczowa i Basia Olszewska. Byłam bardzo zżyta z Mirką i Basią. Pamiętam moje pierwsze przyjscie na komplet, na lekcję historii. Komplet wtedy odbywał się na ulicy Pięknej 16, taki to zbieg okoliczności, że to było mieszkanie moich przyszłych teściów. No ale to jest przyszłość. A teraz proszę sobie wyobrazić, zadzwoniłam i otworzyła mi drzwi śliczna dziewczyna, śliczna, to była Mirka Jaszczak. Powiedziałam, że przysłała mnie pani Straszyńska, że miałam tu dziś być, była godzina dziewiąta czy dziesiąta, przyszłam. Były inne koleżanki, przyszła pani Obarska i spóźniła się dziewczyna z rozwianym włosom, ze zmarzniętym czerwonym nosem, o śmiejących się oczach, i to była Basia Olszewska, stryjeczna siostra mego późniejszego

męża. A chcę dodać w tym miejscu jeszcze, że w tym mieszkaniu mieszkał wuj mego męża, pułkownik, doktor Wacław Olszewski, który był lekarzem dowództwa AK. Basia i Mirka, obie tragicznie zginęły w wypadkach samochodowych. Basia w 1970 r. w Stanach Zjednoczonych, gdzie mieszkała, a Mirka - Mirkę przejechał samochód w grudniu 1993 r.

We wrześniu 1943 wyszłam za mąż za cioteczno brata Basi Olszewskiej, Jurka D., studenta Wydziału Konsularno-Dyplomatycznego Uniwersytetu Poznańskiego. Zamieszkaliśmy na ulicy Filtrowej 62, mieszkania 50, w mieszkaniu wynajmowanym przez Edwarda Olszewskiego, który był wujem mego męża. W tym lokalu mieszkała Basia i jej brat Zbyszek, wspinały zresztą chłopiec. Mieszkanie było duże, miało dwa wejścia. Odbywały się w nim kursy podchorążych i tajne komplety. Zapisalam się na Wydział Filologii Słowiańskiej. Uczyłam się czeskiego, serbskiego, a poza tym doszlifywałam prywatnie konwersacjami francuski, no i fortepian.

Nasze mieszkanie w razie walki przewidziane było na punkt sanitarny. Zapasów żywności na dwa tygodnie powstania (ewentualnie) było dostatecznie. Pierwszego sierpnia przed 17 zebrały się sanitariuszki (nie wszystkie zdążyły) i nasz dowódca, Wanda Bosacka, z domu Straszynska. O 17 padły pierwsze strzały na Filtrowej. Wyskoczyłam z domu i wpadłam na księdza profesora Salamuchę, którego znałam i pytam: "już?", a profesor mówi: "już! mała, błogosławie, przeżegnaj się". Przeżegnałam się. Tej nocy, a może następnej nocy padał deszcz. I mój Jurek z grupą chłopców usiłowali przedostać się, przebić się przez Uniwersytecką do zgrupowania, które później nazywało się Redutą Wawelską. Ale ostrzał z domu Akademickiego i z domu Marynarki był tak silny, że przejście, przeskok, było niemożliwe.

Chyba tak 6 sierpnia skoczyłam w łazience na trapez, poczułam wielki ból, krzyknęłam i spadłam z trapezu. Jurek zaraz poleciał na górę do doktora Goldmana, który mieszkał nad nami, doktor przyszedł i stwierdził, że ja jestem w ciąży i że grozi mi poronienie. Miał jakieś 3 zastrzyki, myślę, że to była Lutocyklina. Zrobił mi pierwszy, kazał mi oczywiście leżeć. Naprzeciwko okien naszych, po drugiej stronie (nasze okna wychodziły na Asnyka), na pierwszym piętrze mieszkali moi teściowie, na ulicy Asnyka 6. Teść był komendantem cywilnej obrony bloków Asnyka, Niemcewicza, przejścia na Filtrową. Przez okno Jurek mu krzyknął co się stało. Teść miał plany podziemia Asnyka i w nocy przepiłowano rurę, taki kanał, który był ślepy, pod ulicą Asnyka, i zrobiono wózeczek. Położyli mnie na ten wózeczek i przeciągnęli pod ulicą Asnyka. Wnieśli mnie na górę, do łóżka. Ale Niemcy już od paru dni pacyfikowali Filtrową.

10 sierpnia pod dom podjechał czołg. Zresztą czołg był już i poprzedniego dnia pod domem. Kazali nam wszystkim wychodzić. Mamy w ciągu godziny opuścić wszystkie mieszkania. Kto zostanie będzie rozstrzelany. Wyszliśmy, opuściliśmy dom, wpadliśmy w ręce tych z brygady SS-RONA Kamińskiego, oprawców, pijanych, którzy nas rabowali, wyciągali z szeregów i pędzili, grabili, i zabijali, i zapędzili nas na Zieleniak. Zieleniak to powinno być święte miejsce. To było prawdziwe przedpiekle. To było naprawdę przedpiekle. Jednocześnie tu kogoś rozstrzelują, kogoś zabijają, ci z brygady Kamińskiego, bandyci, są pijani, rabują, tu ktoś rodzi, tu ciężko ranny. To była taka noc straszna, a myśmy z naszą grupą, powiedziałabym rodziną, i z kucharką moich teściów, świętej pamięci Józia, tworzyli krąg. Moi teściowie bali się o mnie, bo oni gwałcili, zabijali, i bali się o swoich synów bardzo. Przyszedł do nas jeden z tych RONowców i okazało się, że podszedł do nas człowiek i powiedział: "Siedźcie spokojnie, nie bójcie się, ja całą noc tu przy was będę siedział, z wami rozmawiał". I było, wiecie, tak, jakby do nas przyszedł ten człowiek z zupełnie innego świata. I taka noc, wyobraźcie sobie, tu się naokoło wszystko pali, a jednocześnie to pijaństwo, ten krzyk bitych, zabijanych, mordowanych, gwałconych i wszyscy są w szoku jakimś. Jedni są

upojeni alkoholem, mają ręce we krwi, a drudzy są w szoku, wielkim. Rano kazali nam się ustawiać piątkami, czy, już nie pamiętam, ósemkami, i siadać. I zaczęli wyciągać młodych ludzi, chłopców i stawiać przed ogrodzeniem. I tak postawili ośmiu i zaczęli strzelać. Jeden, widać wygimnastykowany chłopak, skoczył na to betonowe ogrodzenie ale jednak kula go nie minęła, został zabity. W końcu przyjechał samochód niemiecki, a tu już było takie przedpiekle, że Niemcy starali się tych pijaków uspokoić, a nam kazali wyjść. Jak żeśmy wyszli za bramę Zieleniaka to już wojsko niemieckie stało na poboczach zgruzowanych ulic. Doszliśmy na Dworzec Zachodni, do pociągu elektrycznego i dojechaliliśmy do Pruszkowa. Ale w Pruszkowie nie byliśmy w żadnej hali. Nic z Pruszkowa nie widziałam, bo natychmiast nas Niemcy wtłoczyli do towarowych wagonów, zamknęli je i pociąg odjechał. I tak jechałam w nieznanie z moim teściem, moją teściową, moim mężem Jurkiem, bratem Jurka Marysiem (młodszym bratem), z wujkiem Wackiem Olszewskim (bratem mojej teściowej), z ciotką Janką (siostrą mojej teściowej), Andrzejem, synem wujka Wacka, kucharką moich teściów, Józią Wojciechowską i jej siostrą znaną na Zieleniaku, Zofią Pacoń. Jechaliśmy w nieznanie.

Mój teść, Ludomir D., pochodził z rodziny ziemiańskiej, był swego czasu adiutantem marszałka Piłsudskiego. Mój mąż był chrzestnym synem Marszałka. W roku 1926 teść przeszedł do cywila. To był bardzo dobry człowiek, dość porywczy, przechowywał, ukrywał pod Warszawą córkę swego kolegi z wojska, majora, Żyda. Zaangażował dla niej opiekunkę. Moja teściowa była piękną kobietą. Mój teść był bardzo o nią zazdrosny, kilkanaście razy pojedynkował się o nią. Mama D., mama Stasia, to była dosłownie jak święta kobieta, po prostu druga mama. Miała kłopoty z krążeniem i opuchnięte nożyny ale chodziła po biednych z Józią, niosła paczki żywnościowe, czyste pranie. Odwiedzała inwalidów, oficerów, zawsze zaniosiła coś. Jurek, jak już mówiłam, był studentem Wydziału Konsularno-Dyplomatycznego Uniwersytetu Poznańskiego. Studiował na tajnych kompletach. Miał fenomenalne zdolności językowe. Władał pięcioma językami. Natomiast jeśli chodzi o matematykę to myślę, że tabliczki mnożenia to tak za dobrze nie znał. Nie mówię już o rozwiązywaniu jakichkolwiek zadań. Maturę zdał jako ekstern. Właśnie ta matematyka to była jego pięta Achillesowa. Maryś, młodszy brat Jurka, lubił tylko książki łatwe, jak to się mówi, i przyjemne. Mówił, że w przyszłości to on będzie kręcił filmy. Wybuduje parę kin w Warszawie i będzie kręcił filmy, i że to będą naprawdę dobre filmy. Wujek Wacek, jak już wspomniałam, to był pułkownik, lekarz, specjalista od chorób płucnych, ordynator szpitala wojskowego w Łodzi przed wojną. On wyszedł z tej gehenny obozowej i po wojnie był najpierw dyrektorem szpitala w Tuszyńku koło Łodzi i to w tym okresie, kiedy pod zmienionym nazwiskiem ukrywał się tam Aleksander Kamiński, autor "Kamieni na szaniec". Myślę, że o sobie nawzajem wiedzieli. Ciotka Janka była z zawodu farmaceutką. Do wojny pracowała w Wilnie. W Wilnie pracował też jej brat Edward Olszewski, ojciec Basi Olszewskiej, Konopniczanki. Wuj był dyrektorem monopolu, tytoniowego chyba, i wiem, że przed wkroczeniem bolszewików zakopali gdzieś w Wilnie bardzo ważne dokumenty, ale co, gdzie - to już nic nie wiadomo.

Pociąg zatrzymał się w Skierniewicach. Otworzono drzwi. Niemcy stali przy siostrach w białych fartuchach, pielęgniarkach, które pytały, jeżeli jest gdzieś ranny to zaraz wezmą na nosze. Może ktoś jest chory? Namawiali mnie, żebym ja skorzystała z tego ze względu na to grożące poronienie ale nie mogłam ich zostawić i tak jechaliśmy. Ludność cywilna nie przyszła do siebie po szoku, który przeszła podczas Powstania i tego co się działo z nami na Zieleniaku przed załadowaniem do wagonów. W naszym wagonie jechała kobieta, która pod gruzami domu straciła dwoje dzieci i wszystko, cały dobytek. Pozostała jej tylko klatka z kanarkiem, którym się opiekowała w wagonie i bardzo płakała, że ona w czasie przejazdu nie może dostarczyć kanarkowi ani odrobiny wody. Dwóch rzeczy bałam się w czasie okupacji: Oświęcimia i raka. Oświęcim mnie dopadł.

Do Oświęcimia dojechaliśmy 12 sierpnia. Po wyładowaniu nas w Birkenau bodajże jedną dobę byliśmy razem i muszę tu powiedzieć, że stale lataliśmy do ubikacji żeby utopić tam złoto w wyrobach, monetach. Około kilograma złota przywieźliśmy do Oświęcimia w worku takim lnianym z czterema czy pięcioma kilogramami mąki. Józia, której mój teść kazał to nosić, mówiła później zdumiona: "nie mogłam zrozumieć dlaczego pan D. taki mądry człowiek, każe mi nosić tą mąkę i pilnować jej w drodze". Po tym Niemcy kazali się ustawić mężczyznom, pożegnaliśmy się, wyczałowali. Zabierali im dowody i odprowadzili ich gdzieś. Następnie nam zabrali dowody, odprowadzili w inne miejsce, do łaźni obozowej. W łaźni obozowej po raz pierwszy poznałyśmy oświęcimską rzeczywistość: bicie, popędzanie, wyzwiska. Kapo łaźni, gruba Niemka, trzymając pejcz w rękach rozdawała nim razy na oślep, raz na lewo, raz na prawo. Trzeba się było błyskawicznie rozebrać i w biegu chwycić jakieś szmaty, które miały służyć za okrycie. Makabryczne były także zabiegi polegające na stryżeniu owłosienia i dezynfekowaniu ostrzyżonych miejsc. Podczas tych czynności zemdlałam (jedyny zresztą raz w czasie ciąży) i o dziwo nie dostałam pejczem. Nie ostrzyżono mi też włosów. Kiedy po skończeniu tych zabiegów wyprowadzono nas na teren obozu zobaczyłyśmy szereg istot, które z daleka wyglądały jak mężczyźni. Było to oczywiście tylko złudzenie. Faktycznie, to stały nowe więźniarki z ogolonymi głowami. Ja przed wejściem do tej łaźni poprosiłam więźniarkę, dawną więźniarkę, która zresztą sama mi zaproponowała: "może chcesz przechować, przemycić". Dałam jej fotografię mojej kochanej Myszeńki, mojej mamy, ale jak wyszłam to już jej nie było. Nie wiem, może liczyła, że dostanie co innego.

Pierwsze zetknięcie z więźniarkami dłużej przebywającymi w obozie nie należało do najprzyjemniejszych. Zachowywały się w stosunku do nas tak, jakby miały do nas pretensję, że oddałyśmy Niemcom Warszawę i że dobrowolnie przyjechałyśmy do Oświęcimia. Dopiero po rozmowach, kiedy opowiedziałyśmy im o tym co się stało i jak się stało, poprawiła się atmosfera.

Wiele z dłużej przebywających więźniarek pomagało nam lub przynajmniej pocieszało. Szczególną opieką otoczyły dzieci, które znalazły się w transportach przywożonych z Warszawy. Zdarzało się, że w obozie znalazło się kilkoro dzieci z jednej rodziny. I to starsze, mające na przykład 9 lat opiekowało się młodszymi. Widziałam to wszystko na własne oczy, bo umieszczono mnie jako ciężarną w bloku, gdzie przebywały dzieci. Był to barak murowany, nie pamiętam jednak numeru, nie pamiętam też nazwiska blokowej. Funkcję blokowej pełniła więźniarka, która miała na imię Maria. Tak mi się przynajmniej wydaje. Po polsku rozumiała bardzo słabo. Nigdy też nie zapomnę postaci sztubowej, siwej już kobiety, która biła dzieci nawet te najmłodsze, kiedy któreś z nich zmoczyło się podczas snu. Opiekujące się maleństwami starsze dzieci, wiedząc o tym, sprowadzały dzieci z legowisk i sadzały na kiblu byle tylko uchronić je od bicia. Jeszcze dzisiaj, po upływie tylu lat, nie mogę spokojnie mówić, kiedy przed oczami stoją sceny oglądane w obozie.

Barak w którym przebywałam, był niesamowicie zapluskwiony. Pamiętam, że nawet z tego powodu była przeprowadzana jakaś dezynsekcja. W baraku funkcyjne biły za byle co, stosowały też różne kary, jak na przykład klęczenie. Blokowa nic o nas nie dbała. Gdy ubrała się ciepło i najadła, tylko wrzeszczała. Nie lepiej postępowały sztubowe. Trudno mi zapomnieć na przykład postać sztubowej Stasi. Nazwiska jej nie pamiętam. Pochodziła w każdym razie ze Śląska. Nasza tak zwana znajomość rozpoczęła się od przykrego dla mnie zdarzenia. Stasia poleciła mi nosić kotły z jedzeniem. Kotły były bardzo ciężkie i nic nie pomogły moje prośby aby mnie oszczędziła ze względu na mój stan. Zaczęła lać mnie po głowie i musiałam rozkaz wykonać. Ale sztubowa Stasia nie omieszkała wykorzystać moich umiejętności pisania. Dowiedziała się o tym i od tej pory

przychodziła do mnie abym pisała jej listy. Dużym dla mnie przeżyciem były szczere wyznania Stasi, gdy podczas jednej z rozmów przyznała się do tego, że nigdy w domu na wolności nie było jej tak dobrze jak w obozie. Niestety tak w obozie było, gdzie na każdym kroku widziało się kontrasty tak pod względem możliwości materialnych jak również wrażliwości. Rzeczywiście Stasia, blokowa i sztubowe żywiły się tak, jak się na pewno nie żywiły na wolności. Była to żywność z tak zwanej "Kanady" i stroje jakie nosiły, szczególnie stroje nocne, szlafroki, nigdy by sobie nie mogły pozwolić na coś takiego w normalnym zwykłym życiu.

W sierpniu 1944. tak pod koniec, wywieziono z Birkenau mojego męża, teścia, szwagra, wujka Wacka i Andrzeja. Z początkiem września wywieziono moją teściową i ciotkę Jankę. Z nich wszystkich przeżył obóz tylko wujek Wacek Olszewski, jak również jego syn Andrzej. Przebywali oni w obozie koncentracyjnym KL Flossenbug, gdzie zostali zatrudnieni w obozowym szpitalu. Pod koniec grudnia zginął mój teść. Na początku stycznia zginął Maryś, a 19 stycznia mój Jurek. Ciotka Janka zmarła w Konzentrationslager Bergen-Belsen i moja teściowa na tyfus też w tym samym obozie. O tym wszystkim dowiedziałam się oczywiście dopiero po wojnie. Moją teściową pochowali już Amerykanie.

Pewnego dnia do naszego baraku przyszła "lagerelteste" Stenia. Więźniarki nieraz mówiły, żeby tylko nie spotkać Steni. Uciekały przed nią, chowały się przed nią. A ona przyszła do baraku, w którym były dzieci. Mówiono o niej też, że nawet własną ciotkę spaliła w krematorium. Ale tu chyba może ją ruszyło trochę sumienie, bo przyszła do tego baraku dziecięcego i przyniosła im jeża. Cóż to jednak dzieciom z jeża, gdy one wołały, że chcą do rodziców, do domu, do Warszawy. Stenia w tej sytuacji nie potrafiła zdobyć się na nic innego tylko trzasnęła drzwiami i gwałtownie opuściła barak. Była wysoka, przystojna, bardzo elegancka, nieraz po apelu przechodziła między barakami, zawsze inaczej ubrana, poruszała się ładnie, choć troszkę powiedziałabym, że kroczyła raczej męskim krokiem.

Straszne były obozowe apele. Popędzano nas, ustawiano, trzeba było stać na baczność i czekać, tak czekać, czekać i stać. Po tym jak już nas przeniesiono na inny obóz, na cygański, to pamiętam, że zimą czasem powietrze było tak czyste, że zdawało się, że się widzi szczyty gór. I tak się stało i patrzyło na ten świat, tamten świat jak zaczarowany bo Oświęcim, jak słusznie powiedział jeden z oprawców, to była odbytnica świata. Tam ptak nie przeleciał żaden. Ptaki unikały tego miejsca. Wyobraźcie sobie, że nigdy nie widziałam tam ptaka. Widziałam natomiast szczury tłuste jak koty, dosłownie wrywające spod głowy ociupinkę kromeczki chleba. Miałam takie zdarzenie, że przycisnęłam głową tą szczurzą mordkę i usłyszałam pisk, uciekł, zostawił mi to moje kawałtko chleba. Po Bożym Narodzeniu, kiedy gorączkowałam, musiałam w nocy wyjść z baraku. Ale nie pamiętam tego, bardzo gorączkowałam. Leżałam w zaspie śniegu i mnie pisk nagle poderwał. Siedziały przy mnie, te niby-koty, te olbrzymie tłuste szczury. Wracając do apeli, to się tak stało nieraz godzinami. Po prostu się niemal drewniało. A było coraz trudniej, bo cięża i krzyż dokuczał. Nogi były normalnie, zmarznięte, po prostu takie szczudłowate. Apele były dwa razy dziennie i czasem im się coś nie zgadzało i to się jeszcze przeciągało, a czasem był apel dodatkowy. Raz, to było jeszcze w czasie jesiennym, to był wtedy chyba bunt "sonderkomando" i później była chyba jakaś ucieczka i też wtedy był taki apel. To trwało godzinami. A potem jak się wracało do baraku, rano, czasem w późnych godzinach rannych, to się wypijało kubek zimnej kawy.

Oświęcim to miejsce zagłady i to zagłady szybkiej, natychmiastowej, i tej drugiej, odsuniętej w czasie. Jak się musiały czuć te matki z dziećmi na ręku kiedy je gwałtownie wyrzucano z bydlęcych wagonów i pędzono, krzyczano, i pędzono niby do łaźni. A przecież mówiono im, że po prostu jadą do obozów pracy, że jadą pracować. Mało tego,

we Francji, Belgii, Włoszech, sprzedawali Żydzi swoje majątki, domy, bo mieli obiecanie przez Niemców odpowiednie interesy, zapewnione. Niemcy im radzili, żeby zabrali z sobą co najcenniejszego, że można będzie inwestować w fabryki na Ukrainie. Pierwsi niemieccy Żydzi padli ofiarą. Oni zupełnie nie mogli uwierzyć w to, że oni, którzy tyle włożyli do kultury niemieckiej, że ich może coś ostatecznego spotkać z rąk Niemców.

Ale rasizm nie ma nic wspólnego z kulturą. Rasizm to jest przemoc, brudna, okrutna, dążąca do unicestwienia przeciwnika, a przeciwnikiem stajesz się dlatego, że masz inny kolor skóry albo inne poglądy. Bojkot, bojkot to nie rasizm. Bojkot to tylko nietolerancja. Bojkot nie prowadzi do śmierci czyjejs. Ja jestem sama nietolerancyjna. Nie znoszę chamstwa, kłamstwa. Nie znoszę tego ale to nie znaczy, że wyciągałabym z szuflady pistolet i strzelałabym do każdego kto zachowuje się po chamsku bądź kłamie. Tyle się mówiło i pisało na temat przyczyn hitleryzmu, rasizmu. Mówiło się, że w Niemczech, był kryzys, dużo bezrobotnych i bałaganu w polityce, że komuniści podnosili głowy, ale tak naprawdę to Niemcy czcili Boga tylko wargami, nie sercem. Co z tego, że armia na tych swoich pasach miała wyryte: "Gott mit uns". Z tydzień temu był taki program w telewizji, chodzi o Czeczenię. Reportaż z Czeczenii, i ranny młody Czeczeniec mówił właśnie o tym, że ani Bóg chrześcijański ani Allah nie każą zabijać. On walczył tylko w obronie własnej ziemi. Bóg przykazał: "nie zabijaj". Sądzę, że ten brak prawdziwej wiary w Boga, obok bezrobocia, niepokoju jakichś politycznych, komunistów, biedy, że to ten brak wiary w Boga wywołał taką falę rasizmu w Niemczech

Straszna była ta rzecz, ta szybka zagłada. Najpierw to było bez selekcji potem były selekcje po to, żeby właśnie tą zagładę odłożyć w czasie. Straszne te były płomienie ognia o parometrowej wysokości, które z krematoryjnych kominów w niebo leciały. To były straszne rzeczy, trudno sobie wyobrazić żeby po tym, jak człowiek to widział, żeby jeszcze mógł być rasistą. Ale wiem o takiej osobie, która jako dziecko dostała się do Oświęcimia, a potem działała w tej organizacji "Grunwald", ale tak to już jest.

Ten swąd palących się ciał, który się rozchodził kilometrami. Przecież pogłoski o tym co się działo w Oświęcimiu musiały się dość wcześnie zacząć rozchodzić. Przecież mieszkańcy okolicznych wsi orientowali się co się dzieje. A co Niemcom przeszkadzali Cyganie, naród koczowniczy, który taborami przemieszczał się z miejsca na miejsce? Cyganie nie zabierali ani miejsc pracy, ani stanowisk w bankach, w przemyśle, nie zabierali domów, mieszkań wolnych nie wynajmowali, oni po prostu wędrowali, śpiewali, czasem podkuwali konie, handlowali końmi. Był to naród spokojny, jednocześnie wesoty. I oni zginęli, i ich spotkała zagłada.

My, Polacy też byliśmy skazani na zagładę. Byliśmy Słowianami, więc podludźmi. Ta zagłada była odsunięta w czasie, no bo jeszcze dopóki jesteśmy silni to trzeba wykorzystać nasze siły, mamy pracować. Mamy pracować dla przemysłu niemieckiego, mamy pracować, przy bardzo niskiej kaloryczności odżywienia, dokąd nam sił starczy a potem koniec. Selekcje, które się zaczęły na rampie w transportach żydowskich to też miały ten cel, żeby tych młodych, silnych jeszcze wykorzystać. Siłę ich mięśni użyć do porządkowania terenu, do regulacji rzeki, w przemyśle, w gospodarstwie rolnym, i do tylu innych ciężkich beznadziejnych prac i w bardzo ciężkich warunkach. Bo teren, na którym stał Oświęcim-Brzezinka, to były bagna. To był bagnisty teren, a więc praca jakakolwiek w polu to była praca w bagnie.

Jeszcze byli ci, którzy mieli odłożoną zagładę, którzy przyjechali już tam z wyrokami śmierci i w Oświęcimiu miał być wyrok wykonany ale najpierw wykorzystywano ich pracę. Oni nie wiedzieli jak to długo będzie. To dotyczyło głównie Polaków, bo to my Polacy organizujemy się, mamy podziemne organizacje, później małe sabotaże, później duże sabotaże, jesteśmy politycznie bardzo niepewni, wpadki, donosy i po tym sąd.

oczywiście zaoczny i wyrok - kara śmierci. I zesłanie do Oświęcimia. I tam się pracuje dopóki starczy sił i wyrok może będzie dziś wykonany albo za miesiąc, może za tydzień. Pamiętam taką młodą dziewczynę, gdzieś pracowała i przychodziła nieraz na nasz blok do jednej szubowej. Taka przychodziła rozluźniona i pewnego dnia wezwano ją nagle na wydział polityczny. Ona szła i ja widziałam tą jej ściągniętą buzię. Tak jakby ją spotkało jakieś nieszczęście. Kama, szubowa, powiedziała mi, że ona ma wyrok śmierci i właśnie ją wezwano na wykonanie wyroku.

Na to jak wykorzystać pracę ludzkich mięśni aż do naprawdę upadłego to Niemcy mieli świetne wzory Rosji sowieckiej - łagry. Powiedziałabym, że Oświęcim to jest odbitka fotograficzna łagrów tylko że jest inny klimat i inny przeciwnik. Bo powiedzmy, że łapanki i te na ulicach, i w pociągu, to tak jakby te aresztowania sowieckie z domów za jakieś słowo, za jakiś krzywy uśmiech, za jakieś pomruczenie w półśnie. Z kolei tak jak w łagrach byli ludzie różnej narodowości z terenów Związku Sowieckiego, tak Oświęcim stał się wkrótce obozem wielonarodowościowej zagłady.

Wracając do krematoriów. Sonderkomando to była taka grupa Żydów na ogół, która obsługiwała krematoria, łącznie z zabieraniem rzeczy wszystkich, ubrań, zabieraniem złotych zębów. Ci ludzie żyli parę miesięcy i zostawali spaleni w tymże krematorium, inni przychodzili na ich miejsce. Było trzech chyba Polaków, którzy zostali włączeni do sonderkomando i po pewnym czasie, kiedy tą grupę sonderkomando w krematorium likwidowano, tych trzech Polaków wywieziono do innego obozu i tam rozstrzelano.

Rzeczy, które przywozili więźniowie do Oświęcimia, zostały magazynowane w tak zwanej "Kanadzie". To były przywiezione futra, najpiękniejsze stroje i najdelikatniejsza bielizna, oczywiście złoto, zegarki, piękne buty, piękne swetry. No i pracownicy tej "Kanady" przehandlowywali to (oczywiście było to zabronione), przemycali dla blokowych, dla szubowych za chleb, cebulę, a ten chleb to były mniejsze racje dla nas, mniejsze porcyjki. Jak była uczta blokowych, to były sardynki, to były koniaki, to były wina. No właśnie ta Stasia, szubowa, która mówiła, że w życiu nie miała tak dobrze, to właśnie z tej "Kanady" miała stroje, buty, swetry. A sweter to była bardzo ważna rzecz, bo przecież była straszna zima, zimno, mróz, śnieg. Wchodziłeś człowieku do tego piekła oświęcimskiego zupełnie nagi, bo nawet twoje ubranie, w którym jakoś byłeś sobą - zabrano ci. Zostawałeś nagi w tym piekle z własnym charakterem i od tego jak się zachowasz zależało, moim zdaniem, bardzo dużo.

Oświęcim - początek to był wielki szok. Wychowywałam się w domu, w którym zaszczerpiono mi kult człowieka i człowieczeństwa. A wiecie jak tam było z człowiekiem? W oczach stoi Warszawa wspaniała, nieugięta, płonąca tak jak słońce poległym na polu chwały. Obok płoną ludzie zwiezieni na całopalenie od Rodanu do Donu. I słyszysz: "Du bist polnisches Schwein, du bist polnischer Bandit".

Ale i w obozie spotkałam dobro. W pierwszych dniach zaczęła mnie więźniarka, na imię miała Zosia. Porozmawiała chwilę ze mną, następnego dnia przyszła na dłuższą rozmowę i powiedziała, że zaprowadzi mnie do profesor Moszczeńskiej. Rzeczywiście zaprowadziła mnie. Pani profesor krótko ze mną rozmawiała, zapytała czy jestem z konspiracji, powiedziałam jej że tak. Powiedziała mi: "przyjdź jutro, dziecko, dostaniesz dodatkową porcję zupy". I tak dostawałam dodatkowe zupy. Pamiętam Oleńkę, "szrajberkę", w okularach, z miłą, taką życzliwą buzią. W czasie mego pobytu w tym pierwszym baraku razem z dziećmi, może po jakichś dwóch tygodniach, widać wewnątrz jakaś organizacja kobiet przysłała na ten blok dziecięcy taką niby-pielęgniarkę. Powiedziała mi, że jest zakonnica. I ona się zajęła dziećmi i zaczęła je hartować. Mówiła: "pamiętajcie, moje dziatki, codziennie zimną wodą musicie sobie umyć, zamoczyć gardło, z zewnątrz skórę na gardle, umyć szyję zimną wodą i uszy. To

was uchroni przed wieloma chorobami". Pod koniec chyba października przenieśli nas na "B zwei", zdaje mi się że to było pole D. I tam blokową była Polka, nauczycielka, pani Roma. To był blok ciężarnych, dzieci były w innym już bloku. Nas było około 90 ciężarnych, różnych narodowości, nawet była Estonka. Chciałam powiedzieć o tej Romie, naszej blokowej. Wigilia, ostatnia obozowa Wigilia, i Roma mówi przemówienie, takie wigilijne, i mówi tak pięknie, a mówi po polsku ale rozumieją ją wszystkie, wszystkie kobiety ją rozumieją, mówi ciepło, życzliwie, składa nam życzenia urodzenia dziecka, żeby było zdrowe i nam zdrowia życzy, a przede wszystkim życzy nam wolności i mówi, że wolność jest już strasznie blisko. Przemówienie jej zostało przerwane nalotem no i my Polki krzyczałyśmy, że Londyn leci, Rosjanki - Moskwa leci.

Na bloku najwięcej było Polek i Rosjanek. Obok mnie była Włoszka, pamiętam jej imię i nazwisko, Eleonora Mussina. To była ciekawa historia tej młodej dziewczyny. Ona była bardzo zadowolona, że ze mną się zetknęła, bo z nikim się nie mogła porozumieć, a mogłyśmy się właśnie dogadać świetnie po francusku. Eleonora była córką fabrykanta bodajże z Triestu. Zakochała się w Jugosłowianinie, wyszła za niego za mąż no i "trafiła". On był w partyzantce Tito, razem z nim walczyła i ich oddział został zagarnięty przez Niemców. Nie wiedziała co się dzieje z jej mężem, ale ona została przywieziona do Oświęcimia. Eleonora urodziła synka Andree, ale Andrea był calusienki w jakichś krostach, jakoś zainfekowany, jako maciupęńkie dziecko, i wkrótce zmarł. Może do tego przyczyniły się te apele, bo kobiety, które miały małe dzieci też musiały na apelu stawać z tymi dziećmi. No i były złośliwe Niemki, które musiały stwierdzić czy to jest chłopak czy dziewczynka i trzeba było to dziecko rozwijać, a to było zimno, wiatr, deszcz, śnieg. W ten sposób ginęły niemowlęta. Kiedyś to podobno po urodzeniu brano niemowlę za nóżki i na oczach matki rozbijano o ścianę szpitala. Po tym to rzekomo się ucywilizowało, a dlaczego tak się stało - bo Niemka - więźniarka urodziła dziecko i to tak, że nie bardzo nawet wiedzieli, że ona jest w ciąży. No i z niemieckim dzieckiem nie bardzo można było tak postąpić, wziąć za nóżki i rozbić o ścianę. Od tego czasu, jak mi mówiono, tu kurs zelżał.

Zmorą była też "zauna". No, zauna, kąpiel, zdawało się że to jest doskonała rzecz, no bo jak w "waszraumie" o normalnych porach wody nie ma to tu się można wykąpać. Nie, rzecz polegała na czym innym. Właśnie, na wykończeniu. No bo musisz się rozebrać oczywiście na zewnątrz, przed zauną, do naga, i stoisz. Zabierają twoje ubranie, wiążesz je przedtem w jakiś taki węzełek, to znaczy te podarte figi i tą jakąś szmatę którą masz, wkładasz przez głowę lub na ręce, i zabierają to, podobno, do odwszenia. No i stoisz. Po tym pozwalają ci wejść, odkręcają wodę, oczywiście to wszystko się odbywa pod niemieckim nadzorem jakiejś kapo odpowiedzialnej za tą metodę. No więc leci albo ukrop albo zimna woda, potem się szybko zakręca kran. Wypędzają cię, znowu stoisz a to jest listopad, to jest grudzień, ty stoisz, w błocie, bo przecież Oświęcim to jest błoto, i stoisz nago, no i po pewnym czasie dostajesz ten swój węzełek. No i teraz nawiązuje się dyskusja między nami kobietami, czy bardziej racjonalne jest najpierw włożenie tych rzekomych fig, tych gaci, czy najpierw tą górę trzeba ubrać, co jest bardziej racjonalne. Proszę sobie wyobrazić, że to do mnie wraca, ta dyskusja i ten moment. Po tylu latach, po wyjściu z wanny, przy wkładaniu piżamy myślę, co jest bardziej racjonalne.

To były zauny, a nasze wyżywienie? No więc to była chyba jedna ósma bochenka chleba i miska zupy. Ta zupa to była rozgotowana brukiew, rozgotowane buraki pastewne, czasem nierozgotowane i jarmuż do tego. To czasem było zupełnie zimne, czasem było letnie, ale to była podstawa naszego wyżywienia. Pod wieczór właśnie dostawało się tą porcyjkę chleba i na to albo troszeczkę marmolady, albo ociupinkę miodu i to była dzienna porcja. No, jeszcze kawa, oczywiście taka zbożowa, kubek kawy rano i wieczorem. Nic dziwnego, że śniło się żarcie. Wszystkim się śniło, bo rano się

później opowiadało co się we śnie jadło i co się śniło. To były bardzo niebezpieczne rozmowy, naprawdę niebezpieczne, bo jeszcze bardziej się odczuwało głód. Mnie się śnił stół u mojej kochanej babci w Wilnie, pięknie nakryty. Zastawiony tak jak zawsze było: półmiski, salaterki, sałatki, wędliny i już nałożyłam sobie na talerz i miałam się zabrać do jedzenia i budziłam się.

Te zupy nieraz nie były ugotowane, ale przede wszystkim woda w kranach była groźna. Ostrzegaly nas starsze więźniarki, żeby nie pić tej wody, ale niestety niektóre kobiety nie wytrzymały i piły ją. Woda była taka żelazista, że aż brązowa, na pewno nie była oczyszczana i to powodowało tak zwany "durfal". Durfal to była biegunka, na którą się umierało jeśli się nie opanowało uczucia głodu. Jeśli się to opanowało, to się żyło. Odwodnienie było bardzo szybkie, błyskawiczne. Nie można było wtedy ani pić tej kawy ani jeść tej zupy. Jedynie węgiel, a węgiel - to trzeba było sobie porcyjkę chleba dosłownie przypalić na węgiel i to był jedyny ratunek. Ja raz przeszłam durfal, jeszcze w murowanym baraku, ale właśnie sobie zrobiłam z chleba taki węgiel. Nie piłam nic, nie jadłam nic poza tą kromeczką spieczoną na węgiel chleba i tak wytrzymałam 3 dni. Oczywiście byłam bardzo odwodniona, bardzo słaba, ale przeszłam to.

Bardzo biedne były Greczynki, które dosłownie umierały w błocie. One były bardzo biedne bo nie znały żadnego innego języka i nie mogły się z nikim porozumieć. Co im mogłaś dać jak sama nie miałaś co jeść? Tylko życzliwy uśmiech, bo one nie rozumiały, co do nich mówisz, pogłaskanie. One się trzymały taką gromadką i widziałam jak dosłownie marły w błocie, nie mogły się z tego błota wyciągnąć.

W zaunie spotkała mnie kiedyś miła niespodzianka. Musiała odpowiedzialna za ten dryl niemiecki więźniarka odejść, a przechodziła pracująca w zaunie Żydówka czeska i przeszła koło mnie, lekko mnie tak jakby trzepnęła po głowie i uśmiechnęła się. Dotknęłam głowy, a na głowie było szare mydło. Wyobraźcie to sobie, to było wydarzenie wielkie. Podzieliłam się zaraz z moimi najbliższymi stojącymi koło mnie pod prysznicami koleżankami, a ona jeszcze puściła taką ciepłą wodę, żebyśmy się umyły, wreszcie umyły.

Miałam na koi 3 koleżanki. Najstarsza była Marysia. Miała może 35 lat, może więcej. Pochodziła z Woli. To był typ handlarki z Kercelaka. Była energiczna, zaradna. Przeciwnieństwem jej była Kama, delikatna, wrażliwa. Kama była z zawodu krawcową. A trzecia to była Zosia Trzcińska. Pamiętam to nazwisko. Zosia Trzcińska też pochodziła z Woli, martwiła się bardzo czy jej odrosną włosy bo właśnie jej i Marysi od razu po przyjeździe zgolili włosy do gołej skóry i codziennie pytała: popatrzcie, czy już trochę urosły? To zaprzętało jej łepetynę. Była jakby poza tym wszystkim co się działo i co widziała naokoło.

Żeby to wszystko przetrzymać, wyjść z tego obronną ręką na ile się da i jak się da, i dokąd się da, to trzeba było zbudować sobie pewien mechanizm obronny. Doszłam do wniosku, że ja w środku jestem wolna, ja jestem wolny człowiek. Są pewne ograniczenia, powiedzmy nie mogę wyjść z obozu, jestem głodna, ale jestem w środku wolny człowiek. Muszę stawać na apele, muszę pewne czynności wykonywać. Ale jak się da, to przepisy niemieckie muszę omijać, żeby tą moją wolność wewnętrzną utrzymać. A więc jak była "blokszpera", jak była selekcja, to nie wolno było opuścić bloków. To ja się wtedy wymykałam do waszraumu. Trzeba przyznać, że wtedy to się można było jeszcze w tej zimnej wodzie trochę pochłapać. To znów przemykałam się na blok starsuszek. Był taki blok. Tam były kobiety dorosłe i starsze. A jak do nich szłam, to już po drodze wymyślałam różne polityczne wiadomości. Chciałam zawsze jakoś je pocieszyć i ożywić ich nadzieję. A więc mówiłam: Churhill to powiedział, to powiedzmy był wielki nalot na Berlin, a to wielki nalot był na Hamburg, a to jakaś bitwa morska,

wymyślałam coś na poczekaniu i im to mówiłam. I one słuchały uśmiechnięte, ożywione. Żadna mnie nigdy nie spytała skąd ja to wiem. Może która i tak pomyślała, ale może woląta nie pytać? Kiedyś jak tak przemyślałam do waszraumu, nadziałam się jak to się mówi, na lagerelteste Mariję. Marija była Czeszką, po polsku nie mówiła ale trochę rozumiała, chodziła z taką pałą, kijem i waliła kogo dopadła. A więc byłam w sytuacji zdaje się marnej, szczególnie - przecież blokszpera. A ona zawsze krzyczała, że "ani z tyła, ani z preda nikt nie przejdzie", a tu ja przechodzę. Ja podeszłam do niej i po niemiecku do niej się zwróciłam, że jestem w ciąży, że idę do waszraumu. Widać było to że jestem w ciąży, to było może dwa miesiące przed urodzinami Ewuni, i Marija o dziwo nie uderzyła mnie pałą, tylko klepnęła ręką po plecach.

Niemcy stosowali różne metody poniżania człowieka. Oficerowie niemieccy kazali się nam rozebrać i chodzić w kółko. Oni sobie żartowali, dowcipkowali, śmiali się, a myśmy chodziły w kółko. A ta orkiestra obozowa, złożona zresztą z doskonałych muzyków, która wygrywała marsze ludziom wychudzonym, ledwo powłóczącym nogami, wracającym z pracy. Pewnego dnia zjawił się w obozie jakiś wyższy dygnitarz, powiedziałabym, z komendantury obozowej. Spojrzał na nas, ciężarne kobiety, i był zaskoczony, że my jeszcze żyjemy. Miałyśmy żyć tylko 3 miesiące, a to już jest więcej, wtedy chyba był listopad.

Koje nasze były tak wąskie, że jak się 4 osoby położyły to mogły leżeć tylko na boku i wszystkie na tym samym. Odwracanie na drugą stronę odbywało się na komendę. Moje miejsce było pod oknem w suficie, w którym nie było szyby. A więc jak padały deszcze, czy później śnieg, kładłam się spać z ubrudzonymi w błocie nogami, a budziłam się i miałam nogi jak alabaster. Że zimne, zmarznięte, zupełnie inna sprawa. My miałyśmy koję na 3 piętrze, ale na ziemi pod tą dolną, którą nazwałabym pierwszym piętrzem, stała kałuża wody. A więc miało co mi te nogi bez przerwy myć deszczowymi nocami.

Aby żyć trzeba było w obozie zdobyć się na maksymalny wysiłek woli. Ja chciałam żyć więc się nie załamywałam. Ale nie wszystkim się to udawało. Nie wszystkie więźniarki mogły się na to zdobyć. Na przykład moja warszawska sąsiadka, artystka malarka, z domu Lipcówna, kobieta bardzo wrażliwa, tak jak artystka. W obozie przebywała z matką, ale ponieważ Zosia była w ciąży, więc była na moim bloku. Od pewnego czasu przestała się myć, to znaczy zamoczyć się, ręce i twarz. Stawała się taka zrezygnowana. Mówiła mi: "taka egzystencja nie ma w ogóle sensu". Dużo z nią rozmawiałam i tłumaczyłam, że nie można się załamać, że trzeba właśnie tak bardzo chcieć żyć, że nie można stać się "muzułmanem". "Muzułmanami" w obozie nazywało się tych, którzy się już załamali i już po prostu nie chcieli żyć i marli, ginęli. Zosia mówiła mi: "wiesz, ja myślę, że gdybym tak zjadła kotlet schabowy to bym chyba od razu się lepiej poczuła, ale takie życie to nie ma dla mnie absolutnie sensu". Zosia urodziła dziecko, ale zaraz po porodzie zmarła. To było przed samiusieńkim wyzwoleniem obozu. Pamiętam, jak już po wyzwoleniu jej matka trzymała w jakimś zawiniątku noworodka córki. Rozmyślała pewnie o swoim losie. Przeżyła ona, starsza kobieta, a zginęła jej trzydziestoparoletnia córka. Niebezpieczne w obozie były rozmowy o jedzeniu i równie niebezpieczne myśli o najbliższych. Bo można było myśleć o domu jako o pomieszczeniach, sprzętach, rzeczach, ubraniach, obrazach, to były dla mnie takie zupełnie bezpieczne myśli, niezobowiązujące, nie wywołujące jakichś emocji. Ja do wielu rzeczy nie przywiązuję nadmiernej wagi. Ale myśl o bliskich to jest coś zupełnie innego. Jak pomyślałam o bliskich i zrobiło mi się coś tak ciężkavo na duszy to szłam pod druty i śpiewałam arie torreadora z opery "Carmen". A ponieważ głosu nie mam, więc trudno tu mówić o śpiewie, ale ważne były słowa: "torreador do walki staje sam". To było to, trzeba było stałe stawać do tej walki.

Po przeniesieniu na odcinek "B zwei", prawdopodobnie jak mówiłam pole D, zaczęło się

już odczuwać straszny głód. Bo te wszystkie zapasy, które się wyniosło z domu, zapasy witamin, powiedzmy zapasy jakieś nawet tłuszczu, to wszystko już się chyba wyczerpało. Głód był straszny. Marysia, ta zaradna Marysia, która ganiała gdzieś i coś jak to się mówi organizowała (w Oświęcimiu się nie kradło, w Oświęcimiu się organizowało), a więc ona pewnego dnia zaczęła gotować zupę na mięsie, ale powiedziała, że sama tą zupę zje, że nikomu nie da nawet łyżki tej zupy. A skąd to mięso? Powiedziała po prostu, że ze śmietnika. Aż strach pomyśleć, jakie to mogło być mięso. Na śmietniku. To sobie trudno wyobrazić. Ja nie wiem czy Marysia wtedy popełniła szczurożerstwo czy ludożerstwo?

W zimie zmrok zapada szybko, pewnego wieczoru pod barak kuchni obozowej przywieziono ziemniaki. Nasz barak stał niedaleko kuchni, więc pomimo niebezpieczeństw starałyśmy się zdobyć z Marysią ziemniaki. Trzeba się było śpieszyć, bo mogłyśmy to zrobić tylko w nocy, zanim ziemniaki nie zostaną wniesione do kuchni. Jakkolwiek Niemki z pejciami pilnowały ziemniaków zdecydowałyśmy się na akcję. Pomimo śniegu, niskiej temperatury i wyslizganej drogi na której łatwo się było potknąć i upaść szybko podbiegałyśmy w kierunku ziemniaków i złapawszy dwa lub trzy kartofle biegiem powracałyśmy do baraków. Jedna z Niemek widząc mnie krzyknęła pod moim adresem: "twoje dziecko będzie złodziejem". Odwróciłam się wówczas i odkrzyknęłam: "ale nie niemieckim". Te kartofle trzeba było albo ugotować albo upiec. Do tego potrzebny był jakiś opał, bo piec długi ciągnął się przez całą długość baraku, tylko że nie było czym w tym piecu palić. Więc z wolnej koi wybrałyśmy deskę. Ot, jedną deseczkę, no i się ją przełamało (deski nie były grube), upiekło się kartofle. Jadło się je, gorące kartofle w łupinach, parzyło ręce, parzyło gardło ale były takie smaczne, doskonałe.

Powiedziałam, że w Oświęcimiu się nie kradło, w Oświęcimiu się organizowało. Ale jeśli ktokolwiek komuś ukradł tą pajdkę chleba to było złodziejstwo, to już nie była organizacja. Organizowało się to co było w istocie wspólną własnością, niemieckie - to była organizacja.

Miałam tę pewność, że jeśli się nie załamie, nie zmuzułmanię, to moje dziecko urodzi się już na wolności, byłam tego pewna. Zaczynają już mi się na nogach robić jakieś takie czerwone placki, błyszczące, zaczynam puchnąć, odczuwam to tak jakoś nagle, to na pewno awitaminoza i jakieś pewnie głodowe podpuchnięcia. Zaczyna mnie boleć bardzo jeden bok. Ale nie daję się, front się zbliża. Otrzymujemy wiadomość, że padł już Kraków. Z Płaszowa przywieziono więźniów, a front już jest blisko. Nadszedł 18 stycznia. Kazano nam wyjść z bloków i ustawiać się, już nie pamiętam czy w ósemki czy w piątki i czekać. To czekanie się bardzo przedłużało, wróciłam na chwilę na blok, potem znowu wyszłam, stanęłam, to trwało bardzo długo, formowanie tej kolumny. Niemcy latali. Mignął mi doktor Mengele, przystojna twarz a samo okrucieństwo. Obok niego mignęła mi doktor Ela czy Elna, przywoity bardzo człowiek. Potem Niemcy biegali wokół kolumny, oficerowie. Jeden oficer zatrzymał się obok mnie. Wyciągnął chustkę do nosa z kieszeni. Z kieszeni wypadł papieros. On tego nie zauważył. Nikt tego nie zauważył, tylko ja. Chcę opowiedzieć jak mi papieros uratował życie. Nachyliłam się, kucnęłam, wzięłam tego papierosa i w tym wielkim zamieszaniu, w tym przepędzaniu, ustawianiu, udałam się na tak zwany blok staruszek. I w tym bloku była moja koleżanka. Dziunia Seweryn, ze swoją matką, starszą panią. I one nie wychodziły. Jak przyszłam do nich z tym papierosem. Dziunia palaczka, ja palaczka, a więc wypaliłyśmy po pół tego papierosa i ja namawiałam je, żeby one szły przecież: "słuchajcie, to jest Polska, za bramą będziemy wolne, tylko żeby wyjść za bramę". Ale pani Seweryn, ona utykała, mówiła, że nie ma laski i że ona nie da rady, absolutnie nie. Dziunia powiedziała mi: "nie, ja mamy nie zostawię" no i tak żeśmy się żegnały, żegnały, umawiały się na spotkanie. Jak wyszłam, żeby dołączyć do kolumny to już nikogo na tym polu obozowym nie było, już wszyscy wyszli. Więc myślę sobie tak: "to ja straciłam okazję wyjścia na

T/1-17

wolność". Byłam tym bardzo zmartwiona więc udałam się pod bramę i prosiłam wartowników, ażeby mnie przepuścili, że ja dogonię koleżanki. Wartownicy moją prośbę skwitowali wybuchem śmiechu i odesłali mnie do baraku mówiąc, że jeszcze następnego dnia odejdzie transport, do którego się będę mogła przyłączyć. Byłam bardzo przybita tą niespodziewaną rozłąką, bo ja myślałam, że za bramą jest już wolność. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że za bramą było pędzenie i dobijanie słabszych, których zwłoki porzucano na poboczach drogi. Ze zwłok tych ściągano nawet ubrania cywilne, w które zaopatrzyły się więźniarki, te które wiedziały o wymarszu, te pracujące w magazynach Kanady. I te z innych magazynów. I tak papieros uratował mi życie. Tak można by to ująć zwyczajnie, ale widać miałam przeżyć. A przecież nie byłam ani ociupinkę lepsza od tych, którzy zginęli, niczym się nie wyróżniałam. Pan Bóg chciał, żebym przeżyła.

W moim baraku zostało nas już niewiele. Nie było Marysi, Kamy, Zosi, ubyło wiele Polek, zostało nas Polek niedużo, Estonka, Włoszka Eleonora i parę Rosjanek, między innymi Ania farmaceutka z Moskwy, parę Ukrainek. Następnego dnia nie było już apelu, wprawdzie wpadł jeden esesman, kazał nam się ustawiać w baraku, policzył nas - trochę bałyśmy się, że to się skończy w krematorium - ale on szybko wyskoczył. 20 stycznia tak jakby panowanie niemieckie w obozie się skończyło. Niemcy wpadali jeszcze sporadycznie. Było nawet tak, że wpadali jedną bramą, po drodze zrzucali płaszcz od munduru, okazywało się, że są już cywilami i wypadali drugą bramą. Na bramie nie stała już warta. Słyszało się kanonadę dział, to zbliżającą się, to oddalającą. Nad nami pojawiały się samoloty jakieś nocą, zapalały lampiony, takie jakby żyrandole, widno było jak w dzień. Pewnej nocy stałam przytulona z taką Ukrainką, prostą kobietą, która miała wspaniały głos, i ona śpiewała a z daleka brzmiały działa. Zastanawialiśmy się, czy aby dożyjemy tego wyzwolenia. Po zbombardowaniu elektrowni w obozowym ogrodzeniu nie było już prądu. Więźniowie sąsiedniego odcinka szpitalnego poprzecinali druty ogrodzenia, a więc i my, więźniarki, mogłyśmy się poruszać po odcinkach przyległych do naszego. Więźniowie mężczyźni rozbili taki magazyn na terenie naszego pola obozowego w którym okazało się, że jest chleb, a więc każdy dostał po kawałku chleba, już nie było tak źle, bo chleb to jest bardzo dużo.

Pewnego dnia, to mógł być 22 stycznia, może 23, wybrałam się na sąsiednie pola obozowe, minęłam jedno, przeszłam na drugie, po prostu traktowałam to tak jakby spacer i nagle pojawił się samolot i zaczął krążyć. Ja nie chciałam nawet patrzeć jaki to jest samolot, czyj, co on ma na skrzydłach, skryłam się, szybko wpadłam do baraku i przy wejściu niemal potknęłam się o całą wyprawkę dziecięcą - niemowlęcą, łącznie z poduszką, z pieluszkami. Ja nie wymieniałam dziennej pajdki chleba (tak robiły niektóre kobiety) na jakieś szmaty, żeby to była ewentualnie pieluszka, czy żeby w ogóle w to zawinąć dziecko jak się urodzi. Wierzyłam, że jeśli nie zmużłmanieję, jeśli się nie załamie, to moje dziecko musi się urodzić na wolności. Ale do dziś pozostało mi to, że jak słyszę krążący nad głową samolot to przypomina mi się to, ten właśnie moment, ta moja ucieczka, właśnie do tego baraku. Ja bardzo lubię latać samolotem ale nie lubię jak mi krąży nad głową.

Więźniowie z sąsiedniego odcinka szpitalnego powiedzieli nam, że na innym odcinku obozowym, w kuchni obozowej znajdują się obrane kartofle. Poszłyśmy z Rosjanką, Katją, zdobyć parę kartofli. Byłyśmy właśnie w środku tego baraku, gdy nagle wszedł esesman. Widząc go przeraziłyśmy się bardzo. Nasze zdenerwowanie powiększyło się, gdy kazał nam wyjść przed barak i zaczął wyjmować pistolet z kabury. Tym właśnie pistoletem zastrzelił Katję. Ja szłam, wracałam na swoje pole obozowe, szłam i wiedziałam, że nie mogę ani przyspieszyć, ani się zatrzymać ani odwrócić, a obok mnie szła śmierć, wyciągnęła do mnie rękę i nie wiedziałam czy chwyci mnie w nerki, w płuca czy w głowę. On szedł za mną, a między nami była śmierć. Najgorszy moment to był ten

kiedy musiałam się zatrzymać przed drzwiami baraku żeby wejść. Weszłam, żyłam. Katję pochowałyśmy następnego dnia.

Działa grały, grały i pewnego dnia przestały grać i okolice obozu opanowała denerwująca cisza. W pewnym momencie, w oddali, dostrzegłyśmy sylwetki na biało ubranych mężczyzn, którzy podążali w kierunku obozu. Bałyśmy się, bardzo żeśmy się bały, że to wracają Niemcy żeby nas wykończyć. Mężczyźni się zbliżali, zbliżali, a tu się szeptało, że idą nas wykończyć, że to Niemcy wracają bo właśnie umilkły działa. Nagle się rozległ okrzyk: "zdrawstwujię tawariszczi". Zbliżający się mężczyźni stanowili przednią szpicę patrolu zwiadowczego. Żołnierze sowieccy uspokoili nas mówiąc: "Nie bójcie się, bo Niemców niet. Niemcy już nie wrócą". Później zorganizowano kuchnię i zaczęto wydawać posiłki. Do naszego baraku wszedł pułkownik sowiecki. W baraku nas było niedużo, kilkanaście Rosjanek, z Polek chyba zostałam ja jedna i Eleonora. Pułkownik mówił, że będzie zorganizowana pomoc, ale musi być obecnie zarządzona kwarantanna więc osobiście doradza mi, abym jak najszybciej opuściła teren obozu. Zapytałam co ma zrobić Eleonora. Powiedział, że w Krakowie jest taki punkt dla więźniów innych narodowości, podał ulicę, gdzie to się mieści w Krakowie i że tam ona się ma udać. No a jeśli chodzi o Rosjanki to kazał im się zabierać i iść do pewnego baraku. A tam już urzędowało NKWD. Takie było wyzwolenie.

A więc przeżyłam obóz i dziecko moje urodzone będzie na wolności. Udało się przeżyć to piekło. Wyzwolenie to piękna rzecz. Następnego dnia zabrali mnie z Oświęcimia dwaj młodzi ludzie. Na sanki mnie wsadzili po prostu i wieźli. Jeden z nich był z partyzantki, a drugi wrócił z jakiegoś obozu pracy. To byli bracia. Mieli piękny dom w Oświęcimiu. Oczywiście w tym domu mieszkali w czasie istnienia obozu Niemcy. Musieli uciekać w dużym pośpiechu bo pozostawili w piecu niedopieczone ciasto a na talerzach niedojedzone resztki jedzenia. W tej właśnie willi pięknej spędziłam jedną noc. Następnego dnia moi gospodarze porozumieli się z akuszerką miejscową, która poradziła, aby mnie przetransportować do Krakowa, bo po pobycie w obozie mogą nastąpić komplikacje poważne przy porodzie. Za radą wspomnianej akuszerki przewieziono mnie do Krakowa samochodem ze znakami polskiej armii, na którym wieziono mięso. Jechali na tej ciężarówce też żołnierze. I jeden z nich zapytał mnie skąd ja jestem, powiedziałam, że z Warszawy. "Aach, jak ty z Warszawy, to nie wiadomo jeszcze czy dostaniesz krzyż czy po krzyżu".

No i dojeżdżamy do Krakowa. W Krakowie samochód zatrzymuje patrol sowiecki, każą wysiadać i zagarniają mnie i prowadzą w jakąś boczną uliczkę do jakiegoś domu, do piwnicy, a w piwnicy więźniowie w pasiakach nic nie mówiący ale wystraszeni. No więc zaczęłam coś ich podpytywać, to byli Rosjanie i Polacy. Musiałam się ratować. Zaczęłam jęczeć, udawać że rodzę, że mam bóle, a przecież nie wiedziałam jak to się robi. Podeszedł jeden żołnierz do drzwi, spojrzał przez takie okienko, młoda twarz, a ja jęcę, zamknął okienko, a ja nic, jęcę. Podeszedł drugi starszy, a ja jęcę i mówię, "jakby tak twoja córka..., zaraz będę rodzić..., prowadź mnie do komandira". Miałam taką przepustkę wystawioną w Oświęcimiu, że jestem zwolnionym więźniem z Oświęcimia. I zaprowadził mnie do komendanta, na piętro. Ja do tego komandira, daję mu tą przepustkę, a tu się za brzuch trzymam, a tu jęcę, a tu jęcę, jęcę i się cała staniam. Każe mnie zwolnić, ale zobaczyłam że trzymał tą przepustkę do góry nogami. Więc mnie sprowadzają na dół, już mnie wypuszczają, a tu mnie znowu zagarniają. Ale na szczęście ten starszy żołnierz odwrócił się i powiedział "puśćcie ją, ona już była u komandira, komandir ją zwolnił". Wyszłam stamtąd, a ta moja walka, to moje niby-rodzenie, to wszystko trochę potrwało, a byłam już tak zmęczona, że usiadłam na chodniku, wsadziłam nogi w rynsztok i siedziałam. I wtedy z sąsiedniego domu, z trzeciego piętra, przez lufcik wychyliła się kobieta i zaczęła mnie wołać. Ja nie reagowałam. Kobieta zbiegła w szlafroku, wzięła mnie za rękę i zaprowadziła.

zaciągnęła do siebie na górę, weszłam jakoś po schodach. To była rodzina polskiego kolejarza, polska rodzina i oni odstąpili mi swoje łóżko, mogłam się u nich umyć i taka wolność, tak przyjemnie, dali mi jeść. Jak dobrze.

I tak wkraczałam w nowe życie. 16 lutego o 15⁴⁵ w szpitalu św. Łazarza w Krakowie urodziła się moja córka, i żadnych komplikacji przy porodzie nie było, poród był spontaniczny mimo, że miałam zapalenie płuc i z nerkami jak się okazało też było niedobrze.

Nagrałam te wspomnienia w 50 lat po wyzwoleniu obozu Oświęcim-Brzezinka.

Nad bramą wejścia do Piekła Dantego był napis: "Porzućcie wszelką nadzieję wy, którzy wchodzicie". Nad bramą obozu Oświęcim-Brzezinka jest "Arbeit macht frei", a powinno być "Porzućcie wszelką nadzieję wy, którzy nie jesteście nazi-germanami". W myśli dziękuję prezydentowi Lechowi Wałęsie za zorganizowanie uroczystych obchodów 50 rocznicy wyzwolenia Oświęcimia. Dziękuję głowom państw, delegacjom rządów, których obywatele ginęli w Oświęcimiu, za przybycie na tę uroczystość. Był to hołd złożony zmarłym, pomordowanym.

Ale nie obyło się bez zgrzytów. Najpierw rabin, chyba Weis się nazywa, z Nowego Jorku, domagał się usunięcia krzyża z terenu obozu, potem ktoś zapowiadał, że nie przyjedzie, czyjs fotel był ostentacyjnie pusty na uroczystej sesji w Collegium Maius. No tak, centralne uroczystości w Oświęcimiu, pod ścianą śmierci bloku 11, modlitwy za zmarłych prowadzone przez duchownych różnych wyznań, przemówienia. Zabrakło mi paru słów wypowiedzianych przez żołnierza Armii Sowieckiej, tej, która wyzwalała obóz, dzięki której ocaleliśmy. Podobno zaden z nich ze względu na stan zdrowia nie mógł przyjechać. Może zostali w ziemi Gułagu? Głowy państw, przedstawiciele rządów, składają wieńce, powaga chwili. Dokumentalne filmy w telewizji tego dnia, a następnego dnia komentarze prasy zachodniej i amerykańskiej: "Polacy spolonizowali obchody", i tak dalej. Przepraszam, ale to jest już bezczelne. To my Polacy mieliśmy rząd na obczyźnie a w kraju delegaturę tego rządu i nie urodził się u nas żaden Quisling, a nasza Armia Krajowa licząca 300 tysięcy żołnierzy była naprawdę największą podziemną armią świata. To nasi lotnicy bili się o spokojne niebo nad Londynem, nasi żołnierze zdobyli szczyt Monte Cassino, a Powstanie Warszawskie to chyba była jedna z największych bitew świata. A więźniowie polityczni w Auschwitz to przecież głównie Polacy. Świat wiedział o zagładzie Żydów w Oświęcimiu ale nic w tym kierunku nie robił. To przecież z tego powodu popełnił samobójstwo polski poseł Żyd w Londynie. Wiadomości o tym co się dzieje w Oświęcimiu przekazał Komendzie Głównej AK rotmistrz Witold Pilecki, uznany za jednego z ośmiu najodważniejszych ludzi w II Wojnie Światowej. To rotmistrz Pilecki za zgodą Komendy Głównej AK z fałszywą "kenkartą" dał się złapać w publicznej łapance na ulicy w Warszawie żeby dostać się do Oświęcimia i tam organizować opór. A emisariusz rządu polskiego Karski i jego raporty? Ale najedzony i bogaty świat nie szukał drogi dla ocalenia Żydów. Wallenberg, wspaniała postać, był tylko jeden. A wiele lat później syci, bogaci, patrzyli jak Pol Pot morduje Kambodżę, to też było ludobójstwo. A Jugosławia, Rwanda, Czeczenia. A więc niech ci dziennikarze, nie wiadomo przez kogo opłacani, przestaną pisać, że spolonizowano obchody 50 lecia wyzwolenia Oświęcimia. A gdzie ten Oświęcim leży, na Księżycu?

Baron Goldstejn z Paryża kończył swoje wystąpienie słowami: "zapomnieć - nigdy, przebaczyć - nigdy". My, chrześcijanie, modlimy się do Ojca Niebieskiego w Pater Noster: "...i przebacz nam nasze winy jako i my przebaczymy naszym winowajcom". I

7/1-20

trzeba przebaczyć, zdobywamy się na to przebaczenie, może dlatego inaczej
podchodzimy do miejsc zagłady i do miejsc kaźni.



3/1-21

Przeżycia kobiety w ciąży w Oswiecimiu

We wrześniu 1943 wyszłam za mąż za ciotecznego brata mojej koleżanki z kompletów, Basi Olszewskiej, za Jurka D., studenta Wydziału Konsularno-Dyplomatycznego Uniwersytetu Poznańskiego. Zamieszkaliśmy na ulicy Filtrowej 62, mieszkania 50, w mieszkaniu wynajmowanym przez wujka mego męża. W tym lokalu mieszkała Basia i jej brat Zbyszek, wspaniały zresztą chłopiec. Mieszkanie było duże, miało dwa wejścia. Odbywały się w nim kursy podchorążych i tajne komplety uniwersyteckie. Zapisalam się na Wydział Filologii Słowiańskiej. Uczylam się czeskiego, serbskiego, a poza tym doszlifowalam prywatnie konwersacjami francuski, no i fortepian.

Nasze mieszkanie w czasie walki przewidziane było na punkt sanitarny. Zapasów żywności starczyło na dwa tygodnie. Pierwszego sierpnia przed 17 zebrały się sanitariuszki, nie wszystkie zdziżyły. O 17 padły pierwsze strzały na Filtrowej. Poza sanitariuszkami w mieszkaniu znaleźli się chłopcy, akowcy, którzy nie zdziżyli na swoje punkty zgrupowania. W nocy mój Jurek z grupą chłopców usiłował przedrzeć się, przebić przez ulicę Uniwersytecką do zgrupowania, które później nazwano Redutą Wawelską. Ale ostrzał z domu Akademickiego i z domu Marynarki był tak silny, że przejście, przeskok był niemożliwy.

Chyba tak 6 sierpnia skoczyłam w łazience na trapez, z którego zleciałam z wielkim bólem. Jurek zaraz poleciał na górę po doktora Goldmana, który mieszkał nad nami, doktor przybiegł i stwierdził, że ja jestem w ciąży, dowiedziałam się, że ja już jestem w 3 miesiącu ciąży i że mi grozi poronienie. Doktor zrobił mi zastrzyk, dzisiaj myślę, że to była Lutocyklina, i dał mi jeszcze dwa zastrzyki do ręki. I tak dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Moi teściowie mieszkali w domu przy Asnyka 6. Teściu był komendantem obrony cywilnej domów od strony Niemcewicza, Asnyka i Filtrowej. Przez otwarte okno Jurek mu krzyknął co się dzieje ze mną. Ale Niemcy pacyfikowali już Filtrową.

10 sierpnia pod dom podjechał czołgi niemieckie. Zresztą poprzedniego dnia już był czołg. Kazali nam natychmiast wychodzić, natychmiast, pół godziny było na wyjście. I pędzili nas później na Zieleniak. Zieleniak to było po prostu przedpiekle. A w drodze na ten Zieleniak żołnierze z brygady SS Rona, Kamińskiego, jak oprawcy gwałcili, rabowali, bili. No i dotarło się na ten Zieleniak. Noc na Zieleniaku była straszna. Następnego dnia przyjechał niemiecki samochód i Niemcy kazali nam wyjść z Zieleniaka. Wyszliśmy, po bokach stało wojsko niemieckie i tak doszliśmy do Dworca Zachodniego, do pociągu elektrycznego i dojechaliśmy stamtąd do Pruszkowa. A w Pruszkowie prociutko wpędzono nas do wagonów towarowych, i później pociąg ruszył.

12 sierpnia znaleźliśmy się w Oswiecimiu. Pierwszą noc i tak z połowę następnego dnia spędziliśmy jeszcze wszyscy razem. Ale kazano mężczyznom po południu formować się w czwórki, odbierano dowody i wyprowadzono. Następnie postąpiono tak z nami, kobietami. Wyprowadzono nas z tego przedziwnego pola, otoczonego wysokimi sztachetami, ściśle do siebie przylegającymi. Na tym polu nawet trawa rosła. I zaprowadzono nas do łazi obozowej. W łazi obozowej po raz pierwszy poznałyśmy oświęcimską rzeczywistość: bicie, popędzanie, wyzwiska. Kapo łazi, gruba Niemka, trzymała pejcz w rękach rozdawała nim razy na plecy, raz na lewo, raz na prawo. Trzeba się było błyskawicznie rozebrać i w biegu chwycić jakieś szmaty, które miały służyć za okrycie. Makabryczne też były zabiegi polegające na stryżeniu owłosienia i dezynfekowaniu ostrzyżonych miejsc. Podczas tych czynności zemdlalam (jedyne zresztą raz w czasie ciąży) i o dziwo nie dostałam pejczem. Nie ostrzyżono mi też włosów. Kiedy po zakończeniu tych zabiegów wyprowadzono nas na teren obozu zobaczyłyśmy szeregi osób, które z daleka wyglądały jak mężczyźni. Było to oczywiście

tylko złudzenie. Faktycznie, to stały nowe więźniarki z ogolonymi głowami. Ja przed wejściem do ławki poprosiłam więźniarkę, dawną więźniarkę, która zresztą sama mi zaproponowała: "może chcesz przechować, przemycić". Dałam jej fotografię mojej kochanej Myszeńki, mojej mamy, ale jak wyszłam to już jej nie było. Nie wiem, może liczyła, że dostanie co innego.

Pierwsze zetknięcie z więźniarkami dłużej przebywającymi w obozie nie należało do najprzyjemniejszych. Zachowywały się w stosunku do nas tak, jakby miały do nas pretensję, że oddałyśmy Niemcom Warszawę i że dobrowolnie przyjechałyśmy do Oswiecimia. Dopiero po rozmowach, kiedy opowiedziałyśmy im o tym co się stało i jak się stało, poprawiła się atmosfera.

Wiele z dłużej przebywających więźniarek pomagało nam lub przynajmniej pocieszało. Szczególnie opiekę otoczyły dzieci, które znalazły się w transportach przywożonych z Warszawy. Zdarzało się, że w obozie znalazło się kilkoro dzieci z jednej rodziny. I to starsze, mające na przykład 9 lat opiekowało się młodszym. Widziałam to wszystko na własne oczy, bo umieszczono mnie jako ciężarną w bloku, gdzie przebywały dzieci. Był to barak murowany, nie pamiętam jednak numeru, nie pamiętam też nazwiska blokowej. Była to więźniarka, która miała na imię Maria. Tak mi się przynajmniej wydaje. Po polsku rozumiała bardzo słabo. Nigdy nie zapomnę też postaci szubowej, siwej już kobiety, która biła dzieci nawet te najmłodsze, kiedy któreś z nich zmoczyło się podczas snu. Opiekujące się maleństwami starsze dzieci, wiedząc o tym, sprowadzały dzieci z legowisk i sadzały na kiblu byle tylko uchronić je od bicia. Jeszcze dzisiaj, po upływie tylu lat, nie mogę spokojnie mówić, kiedy przed oczami stoją sceny oglądane w obozie.

Pewnego dnia do naszego baraku przyszła "lagerelteste" Stenia. Więźniarki nieraz mówiły, żeby tylko nie spotkać Steni. Uciekały przed nią, chowały się przed nią. A ona przyszła do baraku, w którym były dzieci. Mówiono o niej też, że nawet własną ciotkę spaliła w krematorium. Ale tu chyba może ją ruszyło trochę sumienie, bo przyszła do tego baraku dziecięcego i przyniosła im jeża. Cóż to jednak dzieciom z jeża, gdy one wołały, że chcą do rodziców, do domu, do Warszawy. Stenia w tej sytuacji nie potrafiła zdobyć się na nic innego tylko trzasnęła drzwiami i gwałtownie opuściła barak.

Straszne były obozowe apele. Popędzano nas, ustawiano, trzeba było stać na baczność i czekać, tak czekać, czekać i stać. Po tym jak już nas przeniesiono na inny obóz, na cygański, to pamiętam, że zimą czasem powietrze było tak czyste, że zdawało się, że się widzi szczyty gór. I tak się stało i patrzyło na ten świat, tamten świat jak zaczarowany bo Oswiecim, jak słusznie powiedział jeden z oprawców, to odbytnica świata. Tam ptak nie przeleciał żaden. Ptaki unikały takich miejsc. Wyobraźcie sobie, że nigdy nie widziałam tam ptaka. Widziałam natomiast szczury tłuste jak koty, dosłownie wyrwijące spod głowy ociupinkę kromeczki chleba. Miałam takie zdarzenie, że przycisnęłam głowę i szczerzą mordkę i usłyszałam pisk, uciekł, zostawił to moje kawałtko chleba. Po Bożym Narodzeniu, kiedy gorączkowałam, musiałam w malignie wyjść w nocy z baraku. Ale nie pamiętam tego bo gorączkowałam. Leżałam w zaspie i mnie pisk nagle poderwał. Siedziały przy mnie, te niby-koty, te olbrzymie tłuste szczury. Wracając do apeli, to się tak stało nieraz godzinami. Po prostu się niemal drewniało. A było coraz trudniej, bo cięża i krzyż dokuczał. Nogi były normalnie zmarznęte, po prostu takie szcudłowate. Apele były dwa razy dziennie i czasem im się coś nie zgadzało i to się jeszcze przecięgało, a czasem był apel dodatkowy. Raz, to było jeszcze w czasie jesiennym, to był wtedy chyba bunt "sonderkomando" i później była chyba jakaś ucieczka i też wtedy był taki apel. To trwało godzinami. A potem jak się wracało do baraku, rano, czasem w późnych godzinach rannych, to się wypijało kubek zimnej kawy.

Chyba pod koniec pałdziernika przeniesiono nas na "B zwei", zdaje mi się że to było

pole D. I tam blokowa była Polka, nauczycielka, pani Roma. To był blok ciężarnych, dzieci były już w innym bloku. Nas było około 90 ciężarnych, różnych narodowości, nawet była Estonka.

Na bloku najwięcej było Polek i Rosjanek. Obok mnie była Włoszka, pamiętam jej imię i nazwisko, Eleonora Mussina. Eleonora urodziła synka Andree, ale Andrea był calusienki w jakichś krostach, jakoś zainfekowany, jako maciupękie dziecko, i wkrótce zmarł. Może przyczyniły się do tego apele, bo kobiety, które miały małe dzieci też musiały na apelu stawać z tymi dziećmi. No i złośliwe Niemki musiały stwierdzić czy to chłopak czy dziewczynka i trzeba było to dziecko rozwijać, a było zimno, wiatr, deszcz, śnieg. W ten sposób ginęły niemowlęta. Kiedy to podobno po urodzeniu brano niemowlę za nóżki i na oczach matki rozbijano o ścianę szpitalika. Po tym to rzekomo się ucywilizowało, a dlaczego tak się stało - bo podobno Niemka - więlniarka urodziła dziecko i to tak, że nie bardzo nawet wiedziano, że ona jest w ciąży. No i z niemieckim dzieckiem nie można było tak postąpić, wziąć za nóżki i rozbić o ścianę. Od tego czasu, jak mówiono, kurs zelżał.

Zmorą była też "zauna". No, zauna, kąpiel, zdawało się że to jest doskonała rzecz, no bo jak w "waszraumie" o normalnych porach wody nie ma to tu się można wykpać. Nie, rzecz polegała na czym innym. Właśnie, na wykończeniu. No bo musisz się oczywiście rozebrać na zewnątrz, przed zauną, z tych łachów, szmat które ci dali, rozebrać do naga, i stoisz. Zabierają to twoje tak zwane ubranko, te szmaty, wiążesz je przedtem w jakiś węzełek, to znaczy te podarte figi i jakiś szmatę którą masz, i zabierają to, podobno, do odwszenia. No i stoisz. Po tym pozwalają ci wejść, odkręcają wodę, oczywiście to wszystko się odbywa pod niemieckim nadzorem jakiejś kapo odpowiedzialnej za tę metodę. No więc leci albo ukrop albo zimna woda, potem się szybko zakręca kran. Wypędzają cię znowu, stoisz, stoisz a to jest listopad, to jest grudzień, ty stoisz, w błocie, bo przecież Oświęcim to jest błoto, i stoisz nago, i po pewnym czasie dostajesz ten swój węzełek. No i teraz nawiązuje się dyskusja między nami kobietami, czy bardziej racjonalne jest włożenie tych rzekomych fig, tych gaci, czy najpierw górę trzeba ubrać, co jest bardziej racjonalne. Proszę sobie wyobrazić, że to do mnie wraca, ta dyskusja i ten moment. Po tylu latach, po wyjściu z wanny, przy wkładaniu piżamy myślę, co jest bardziej racjonalne.

To były zauny. W zaunie raz spotkała mnie miła niespodzianka. Musiała odpowiedzialna za dryl niemiecki więlniarka odejść, a przechodziła pracująca w zaunie Żydówka, Czeszka. Przeszła koło mnie, lekko mnie tak jakby trzepnęła po głowie i uśmiechnęła się. Dotknęłam głowy, a na głowie było szare mydło. Wyobraźcie to sobie, to było wydarzenie wielkie. Podzieliłam się z moimi najbliższymi stojącymi pod prysznicami koleżankami, a ona jeszcze puściła taką ciepłą wodę, żebyśmy się umyły, wreszcie umyły.

A nasze codzienne wyżywienie? No więc to była chyba jedna ósma bochenka chleba i miska zupy. Ta zupa to była rozgotowana brukiew, rozgotowane buraki pastewne, czasem nie rozgotowane i jarmuż do tego. To czasem było zupełnie zimne, czasem było letnie, ale to była podstawa naszego wyżywienia. Pod wieczór wlaśnie dostawało się tę porcyjkę chleba i na to albo troszeczkę marmolady, albo ociupinkę miodu i to była dzienna porcja. No, jeszcze kawa, oczywiście taka zbożowa, kubek kawy rano i wieczorem. Nic dziwnego, że śniło się żarcie. Wszystkim się śniło, bo rano się później opowiadało co się jadło we śnie. To były bardzo niebezpieczne rozmowy, naprawdę niebezpieczne, bo jeszcze bardziej się odczuwało głód. Mnie się śnił stół u mojej kochanej babci w Wilnie, pięknie nakryty. Zastawiony tak jak zawsze: półmiski, salaterki, sałatki, wędliny i już nakładałam sobie na talerz i miałam się zabrać do jedzenia i budziłam się.

Te zupy nieraz nie były ugotowane, ale przede wszystkim woda w kranie była groźna. Ostrzegały nas starsze więźniarki, żeby nie pić tej wody, ale niestety niektóre kobiety nie wytrzymały i piły ją. Woda była taka żelazista, że aż brązowa, no i na pewno nie była oczyszczana i to powodowało tak zwany "durfał". Durfał to była biegunka, na którą się umierało jeśli się nie opanowało uczucia głodu. Jeśli się to opanowało, to się żyło. Odwodnienie było bardzo szybkie, błyskawiczne. Nie można było wtedy ani pić tej kawy ani jeść tej zupy. Jedynie węgiel, a węgiel - to trzeba było sobie porcyjkę chleba dosłownie przypalić na węgiel i to był jedyny ratunek. Ja raz przeszłam durfał, jeszcze w murowanym baraku, ale właśnie sobie zrobiłam z chleba taki węgiel. Nie piłam nic, nie jadłam nic poza kromeczką spieczonego na węgiel chleba i tak wytrzymałam 3 dni. Oczywiście byłam bardzo odwodniona, bardzo słaba, ale przeszłam to.

Żeby to wszystko przetrzymać, wyjść z tego obronną ręką na ile się da i jak się da, i dokąd się da, to trzeba było zbudować sobie pewien mechanizm obronny. Doszłam do wniosku, że ja w środku jestem wolna, ja jestem wolny człowiek. Są pewne ograniczenia, powiedzmy nie mogę wyjść z obozu, jestem głodna, ale jestem w środku wolny człowiek. Muszę stawać na apele, muszę pewne czynności wykonywać. Ale jak się da, to przepisy niemieckie muszę omijać, żeby tą moją wolność wewnętrzną utrzymać. A więc jak była "blokszpera", jak była selekcja, to nie wolno było opuścić bloków. To ja się wtedy wymykałam do waszraumu. Trzeba przyznać, że wtedy to się można było jeszcze w tej wodzie trochę ochlapać. To znów przemykałam się na blok staruszek. To były po prostu Warszawianki. A jak do nich szłam, na ten blok staruszek, to już po drodze wymyślałam różne polityczne wiadomości. Chciałam zawsze jakoś je pocieszyć i ożywić ich nadzieję. A więc mówiłam: Churhill to powiedział, to powiedzmy był wielki nalot na Berlin, a to wielki nalot na Hamburg, a to jakaś bitwa morska, wymyślałam coś na poczekaniu i im to mówiłam. I one słuchały uśmiechnięte, ożywione. Żadna mnie nigdy nie spytała skąd ja to wiem. Może która i tak pomyślała, ale może wołała nie pytać? Kiedyś jak tak przemykałam do waszraumu, nadziałam się jak to się mówi, na lagerelteste Mariję. Marija była Czeszką, po polsku nie mówiła ale trochę rozumiała, chodziła z taką pałą, kijem i waliła kogo dopadła. A więc byłam w sytuacji zdaje się marnej, szczególnie - przecież jest blokszpera. A ona zawsze krzyczała, że "ani z tyła, ani z przodu nikt nie przejdzie", a tu ja przechodzę. Ja podeszłam do niej i po niemiecku do niej się zwróciłam, że jestem w ciąży, i że idę do waszraumu. Widać było to że jestem w ciąży, to było może dwa miesiące przed urodzinami Ewuni, i Marija o dziwo nie uderzyła mnie pałą, tylko klepnęła mnie po plecach.

Niemcy stosowali różne metody poniżania człowieka. Oficerowie niemieccy kazali się nam rozebrać i chodzić w kółko. Oni sobie żartowali, dowcipkowali, a myśmy chodziły w kółko. Pewnego dnia zjawił się w obozie jakiś wyższy dygnitarz, powiedziałabym, z komendantury obozowej. Spojrzał na nas, ciężarne kobiety, i był zaskoczony, że my jeszcze żyjemy. Miałyśmy żyć tylko 3 miesiące, a to już jest więcej, chyba był to listopad.

Koje nasze były tak wąskie, że jak się 4 osoby położyły to mogły leżeć tylko na boku i wszystkie na tym samym. Odwracanie na drugą stronę odbywało się na komendę. Moje miejsce było pod okienkiem w suficie, w którym nie było szyby. A więc jak padały deszcze, czy później śnieg, kładłam się spać z ubrudzonymi w błocie nogami, a budziłam się i nogi miałam jak alabaster. Że zimne, zmarznięte, zupełnie inna sprawa. My miałyśmy koję na 3 piętrze, ale na ziemi pod tą dolną, którą nazwałabym pierwszym piętrzem, stała kałuża wody. A więc miało co mi te nogi bez przerwy myć deszczowymi nocami.

Aby żyć trzeba było w obozie zdobyć się na maksymalny wysiłek woli. Ja chciałam żyć więc się nie załamывала. Wierzyłam zresztą, że moje dziecko urodzi się na wolności.

Ale nie wszystkim się to udawało. Nie wszystkie więźniarki mogły się na to zdobyć. Na przykład moja warszawska sąsiadka, artystka malarka, z domu Lipcówna, kobieta bardzo wrażliwa, tak jak artystka. W obozie przebywała z matką, ale ponieważ Zosia była w ciąży, więc była na moim bloku. Od pewnego czasu przestała się myć, to znaczy zamoczyć ręce i twarz. Stawała się taka zrezygnowana. Mówiła mi: "taka egzystencja nie ma w ogóle sensu". Dużo z nią rozmawiałam i tłumaczyłam, że nie można się załamać, że trzeba właśnie tak bardzo chcieć żyć, że nie można stać się "muzułmanem". "Muzułmanami" w obozie nazywało się tych, którzy się już załamali i już po prostu nie chcieli żyć i marli, ginęli. Zosia mówiła mi: "wiesz, ja myślę, że gdybym tak zjadła kotlet schabowy to bym chyba od razu się lepiej poczuła, ale takie życie to nie ma dla mnie absolutnie sensu". Zosia urodziła dziecko, ale zaraz po porodzie zmarła. To było przed samiotkim wyzwoleniem obozu. Pamiętam, jak już po wyzwoleniu jej matka trzymała w jakimś zawiniątku noworodka córki. Rozmyślała pewnie o swoim losie. Przeżyła ona, starsza kobieta, a zginęła jej trzydziestoparoletnia córka. Niebezpieczne w obozie były rozmowy o jedzeniu i równie niebezpieczne myśli o najbliższych. Można było myśleć o domu jako o pomieszczeniach, sprzętach, rzeczach, ubraniach, obrazach, to były dla mnie takie zupełnie bezpieczne myśli, niezobowiązujące, nie wywołujące jakichś emocji. Ja do wielu rzeczy nie przywiązuję nadmiernej wagi. Ale myśl o bliskich to jest coś zupełnie innego. Jak pomyślałam o bliskich i zrobiło mi się coś tak ciężkavo na duszy to szłam pod druty i śpiewałam arię torreadora z opery "Carmen". A ponieważ głosu nie mam, więc trudno tu mówić o śpiewie, ale ważne były słowa: "torreador do walki staje sam". To było to, trzeba było stale stawać do tej walki.

Po przeniesieniu na odcinek "B zwei", prawdopodobnie było to pole D, zaczęło się już odczuwać straszny głód. Bo te wszystkie zapasy, które się wyniosło z domu, zapasy witamin, powiedzmy zapasy jakieś nawet tłuszczu, to wszystko się już wyczerpało. Głód był straszny. Moja koleżanka z koi Marysia, bardzo zaradna, ganiała gdzieś i coś jak to się mówi organizowała, bo w Oświęcimiu się nie kradło, w Oświęcimiu się organizowało, a więc ona pewnego dnia zaczęła gotować zupę na mięsie, ale powiedziała, że sama tę zupę zje, że nie da nikomu nawet łyżki. A skąd to mięso? Powiedziała po prostu, że ze śmietnika. Aż strach pomyśleć, jakie to mogło być mięso. Na śmietniku. To sobie trudno wyobrazić. Ja nie wiem czy Marysia wtedy popełniła szczurożerstwo czy ludożerstwo?

W zimie zmrok zapada szybko, pewnego wieczoru pod barak kuchni obozowej przywieziono ziemniaki. Nasz barak stał niedaleko kuchni, więc pomimo niebezpieczeństw starałyśmy się zdobyć z Marysią ziemniaki. Trzeba się było śpieszyć, bo mogłyśmy to zrobić tylko w nocy, zanim ziemniaki nie zostaną wniesione do kuchni. Jakkolwiek Niemki z pejciami pilnowały ziemniaków zdecydowałyśmy się na akcję. Pomimo śniegu, niskiej temperatury i wyslizganej drogi na której łatwo się było potknąć i upaść szybko podbiegałyśmy w kierunku ziemniaków i złapawszy dwa lub trzy kartofle biegiem powracałyśmy do baraków. Jedna z Niemek widząc mnie krzyknęła pod moim adresem: "twoje dziecko będzie złodziejem". Odwróciłam się wówczas i odkrzyknęłam: "ale nie niemieckim". Te kartofle trzeba było albo ugotować albo upiec. Do tego potrzebny był jakiś opał, bo piec długi ciągnął się przez całą długość baraku, tylko że nie było czym w tym piecu palić. Więc z wolnej koi wybrałyśmy deskę. Ot, jedną deseczkę, no i się ją przełamało, upiekło się kartofle. Jadło się je, gorące kartofle w łupinach, parzyło ręce, parzyło gardło ale były tak smaczne, doskonałe. Powiedziałam, że w Oświęcimiu się nie kradło, w Oświęcimiu się organizowało. Ale jeśli się ukradło pajdkę koleżance chleba to było już złodziejstwo.

20 stycznia tak jakby panowanie niemieckie w obozie się skończyło. Wprawdzie wpadali jeszcze jedną bramą, czasem usiłowali nas policzyć, a czasem to już tylko zrzucali płaszcze, pod spodem mieli cywilne ubrania i uciekali drugą bramą. Słyszało się kanonadę dział, to zbliżającą się, to oddalającą. Więźniowie sąsiedniego odcinka

szpitalnego poprzecinali druty kolczaste bo już prądu nie było, elektrownia już nie pracowała, a więc mogliśmy się poruszać po odcinkach przyległych do naszego. Więźniowie mężczyźni rozbili taki magazyn na terenie naszego pola obozowego w którym okazało się, że jest chleb, a więc każdy dostał po kawałku chleba, już nie było tak źle, bo chleb to jest bardzo dużo. Chleb to jest wszystko.

Pewnego dnia, to mógł być 22, może 23 stycznia, wybrałam się na sąsiednie pola obozowe, minęłam jedno, przeszłam na drugie, po prostu traktowałam to jako spacer i nagle pojawił się samolot i zaczął krążyć. Ja nawet nie chciałam nawet patrzeć jaki to jest samolot, czyj, co ma na skrzydłach, skryłam się, szybko wpadłam do baraku i przy wejściu niemal potknęłam się o całą wyprawkę dziecięcą - niemowlęcą, łącznie z poduszką i pieluszkami. Ja nie wymieniałam dziennej pajdki chleba (tak robiły niektóre kobiety) na jakieś szmaty, żeby to ewentualnie było pieluszką, czy żeby w ogóle w to zawinąć dziecko jak się urodzi. Wierzyłam, że jeśli nie zmuzułmanię, jeśli się nie załamie, to moje dziecko musi się urodzić na wolności. Ale do dziś pozostało mi to, że jak słyszę krążący nad głową samolot to przypomina mi się ten właśnie moment, ta moja ucieczka, właśnie do tego baraku. Ja bardzo lubię latać samolotem ale nie lubię jak krąży nad moją głową.

Więźniowie z odcinka szpitalnego powiedzieli nam, że na innym odcinku obozowym, w kuchni obozowej znajdują się obrane kartofle. Poszliśmy z Rosjanką, Katją, zdobyć parę kartofli. Byliśmy właśnie w środku tego baraku, gdy nagle wszedł esesman. Był w mundurze. Widząc go przeraziłyśmy się bardzo. Nasze zdenerwowanie powiększyło się, gdy kazał nam wyjść przed barak i zaczął wyjmować pistolet z kabury. Tym właśnie pistoletem zastrzelił Katję. Ja szłam, wracałam na swoje pole obozowe, szłam i wiedziałam, że nie mogę ani przyspieszyć, ani się zatrzymać ani odwrócić, a obok mnie szła śmierć, wyciągnęła do mnie rękę i nie wiedziałam czy chwyci mnie w nerki, w płuca czy w głowę. On szedł za mną, a między nami była śmierć. Najgorszy moment to był ten kiedy musiałam się zatrzymać przed drzwiami baraku żeby wejść. Weszłam, żyłam. Katję pochowałyśmy następnego dnia.

Działa grały, grały i pewnego dnia przestały grać i okolice obozu opanowała denerwująca cisza. W pewnym momencie, w oddali, dostrzegłyśmy sylwetki na biało ubranych mężczyzn, którzy podążali w kierunku obozu. Bałyśmy się, bardzo żeśmy się bały, że to wracają Niemcy żeby nas wykończyć. Mężczyźni się zbliżali, zbliżali, a tu się szeptało, że idą nas wykończyć, że to Niemcy wracają bo właśnie umilkły działa. Nagle się rozległ okrzyk: "zdrawstwujię tawariszczi". Zbliżający się mężczyźni stanowili szpicę patrolu zwiadowczego. Żołnierze sowieccy uspokoili nas mówiąc: "Nie bójcie się, bo giermańcow niet. Giermańcy już nie wróca". Później zorganizowano kuchnię i zaczęto wydawać posiłki. Do naszego baraku wszedł pułkownik sowiecki. W baraku nas było niedużo, kilkanaście Rosjanek, z Polek zostałam ja jedna i Eleonora, bo resztę 2 czy 3 dni przedtem wypędzono. Po prostu wypędzono. Wielu było tak słabych, że nie mogli iść, tych co nie mogli iść a przeżyli, kobiety w ciąży, rozstrzeliwano na drogach.

Po pewnym czasie i po pewnych przejściach już poza obozem, 16 lutego o 15⁴⁵ w szpitalu św. Łazarza w Krakowie urodziła się moja córka, i żadnych komplikacji przy porodzie nie było, poród był spontaniczny mimo, że miałam zapalenie płuc i z nerkami jak się okazało było niedobrze.

Warszawa, 1999 r.

II Materiały uzupełniające relację

- Nekrolog W. Dramińskiej, „Życie W-wy” 11.12.2002r., k. 1, s. 1
- Nekrolog W. Dramińskiej, 2002, k. 1, s. 2



AK 4-402

II-1

T. 1037/45K

++
DRAMIŃSKA Wanda
z d. BOGUSŁAWSKA

Dnia 6 grudnia 2002 r.
po ciężkiej chorobie
zmarła

Ś. † P.

**WANDA DRAMIŃSKA
z d. Bogusławska**

Urodzona w Wilnie 1923 r.
Uczestniczka Powstania Warszawskiego
ps. Iza Modrzew,
były więzień obozu koncentracyjnego
Oświęcim – Brzezinka,
patriotka kochająca swój kraj,
drohny Człowiek o wielkim duchu
i ogromnym pełnym miłości do bliźnich sercu.

Nabożeństwo żałobne odbędzie się
dnia 13 grudnia 2002 r. o godz. 13.00
w kościele św. Wawrzyńca
przy ul. Wolskiej 140 A.

O czym zawiadamiają
pograżeni w smutku

**córka z zięciem
i wnuki**

Z. K-my, M. XII. 2002 r.
Msi V.03

i

II-2

AK
LS-60

Dnia 6 grudnia 2002 roku,
po ciężkiej chorobie, zmarła

Memoriał

SP

Wanda Dramińska
z domu Bogustawska

teoria

1939

1945

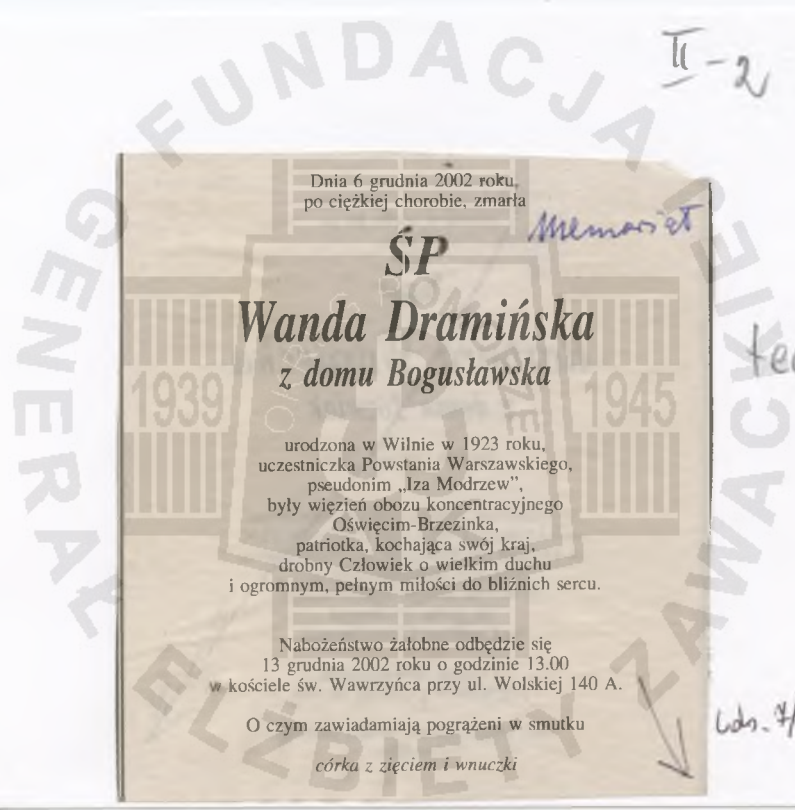
urodzona w Wilnie w 1923 roku,
uczestniczka Powstania Warszawskiego,
pseudonim „Iza Modrzew”,
były więzień obozu koncentracyjnego
Oświęcim-Brzezinka,
patriotka, kochająca swój kraj,
drobny Człowiek o wielkim duchu
i ogromnym, pełnym miłości do bliźnich sercu.

Nabożeństwo żałobne odbędzie się
13 grudnia 2002 roku o godzinie 13.00
w kościele św. Wawrzyńca przy ul. Wolskiej 140 A.

O czym zawiadamiają pogrążeni w smutku
córka z zięciem i wnuczki

600-4/412-412/03

49 2003~



III Inne materiały

III/1 - dot. rodziny wlatowa

- Losy mojej rodziny w czasie II wojny światowej, www.geocities.com/wandabd/osw2.htm, 2001, k. 6, s. 1-6

III/2 - dot. ogólnie okresu okupacji (1939-1945)

- Siostry Narawetanki z Nowogrodka, www.geocities.com/wandabd/sionaz.htm, 2001, k. 2, s. 1-2
- Halina Jureko-Podbereska, 2001, k. 1, s. 3
- Sabina Kalinowska, 2000, k. 1, s. 4
- Wspomnienie o Józefie Nobak, 2001, k. 2, s. 5-6
- W. Dramińska, Moje wspomnienie o Wandzi Straszyskiej-Bosackiej, W-wa 1998, mps, rkps, oryg., k. 1, s. 7
- W. Bogusławska-Dramińska, Porucznik Stanisław Mateusz Winter, W-wa 2000, k. 1, s. 8
- W. Bogusławska-Dramińska, Porucznik kawalerii Jerzy Pięstorzyński „Helski” i porucznik piechoty Franciszek NN ps. „Dan”, W-wa 2000, k. 1, s. 9
- W. Dramińska, wspomnienie o Miethku Zielewskim [b.d.], k. 2, s. 10-11 oraz zdjęcie oryg. - str. 1 s. 10-11
- W. Dramińska, Standard [b.d.], k. 3, s. 12-14

modzime



u
-1-1

Losy mojej rodziny w czasie II Wojny Światowej

Do Oświęcimia 12 sierpnia 1944 roku przyjechałam z rodziną. Wieziono nas bydłocymi wagonami. W pośpiechu, krzyku, we wrzasku, przekleństwach nas wyładowywano. Z moim mężem, Jurkiem D., za którego wyszłam za mąż we wrześniu 1943 roku, z moim teściem Ludomirem, z moją teściową Stanisławą, z moim szwagrem Marysiem, z bratem mojej teściowej Wacławem, jego synem Andrzejem, naszą gosposią Józią i jej siostrą odnalezioną na Zieleniaku. Jechała z nami również siostra mojej teściowej, Janka. I tak wyładowano nas w Oświęcimiu. Ja byłam wtedy w trzecim miesiącu ciąży.

Opowiem o nich. Mąż był studentem Tajnego Uniwersytetu Poznańskiego, Wydziału Konsularno-Dyplomatycznego. Miał wybitne zdolności językowe. Mówił pięcioma językami tak jak polskim. Teść Ludomir D. pochodził z rodziny ziemiańskiej. Był swego czasu adiutantem marszałka Piłsudskiego. W 1926 r. odszedł do cywila. Mój mąż był chrzestnym synem marszałka. Teść był bardzo dobrym człowiekiem, czasem porywczym ale o dobrym sercu. Przechowywał i ukrywał pod Warszawą córkę swego kolegi z wojska majora, Żyda. Zaangażował do niej opiekunkę. Moja teściowa była piękną kobietą. To był dosłownie święty człowiek, tak jak druga mama. Miała kłopoty z krążeniem i opuchnięte często nożyny ale chodziła do biednych z Józią, naszą kucharką, nosiła paczki żywnościowe, czyste pranie, odwiedzała inwalidów wojennych, oficerów, podoficerów, zawsze zaniosiła coś do jedzenia. Mego męża ciotka Janina była z zawodu farmaceutka. Przed wojną pracowała w Wilnie chyba w monopolu, albo spirytusowym albo tytoniowym. Wujek Wacek był lekarzem, specjalistą od płuc, był też lekarzem Komendy Głównej Armii Krajowej, przed wojną był ordynatorem w szpitalu wojskowym w randze pułkownika. Andrzej, jego syn pracował w magistracie dorywczo. Mój szwagier Maryś kilkunastolatek nie bardzo lubił się uczyć. On mówił, że w przyszłości będzie kręcił filmy, będzie miał kino i będzie kręcił filmy. To było marzenie jego życia.

Pierwsze godziny w Oświęcimiu spędziliśmy razem na takim dziwnym polu, które było otoczone parkanem takim szczelnym i wysokim, i na tym polu nawet rosła trawa. Ale to były tylko pierwsze godziny. Noc spędziliśmy w baraku na ziemi. Następnego dnia już nas rozdzielili. Ja byłam w trzecim miesiącu ciąży, o czym się zresztą dowiedziałam w czasie Powstania, jak skoczyłam w łazience na trapez i z wielkim bólem zleciałam z tego. Tak pod koniec sierpnia 1944 r. wywieziono z Oświęcimia-Birkenau mego męża, teścia, szwagra, wujka Wacka i Andrzeja. Z początkiem września wywieziono moją teściową i ciotkę Jankę. Ze wszystkich przeżył obóz tylko wujek Wacek i jego syn Andrzej. Wywieziono ich do obozu Flossenburg. Tam, w szpitalu obozowym lekarze Polacy natychmiast dokooptowali do siebie wujka Wacka, a Andrzej też tam dostał pracę. Jurek ze względu na to, że tak doskonale znał języki i mógł być tłumaczem, mógł też tam znaleźć pracę jako tłumacz, ale nie chciał opuścić ani ojca ani brata, nie chciał się z nimi rozdzielić. I tak we Flossenburgu 26 grudnia 1944 r. zginął mój teść Ludomir. W pierwszych dniach stycznia, tak 5-6 zginął mój szwagier Maryś. 19 stycznia zginął mój mąż Jurek. Z początku września wywieziono z Oświęcimia moją teściową i ciotkę Jankę. Wywieziono je do Bergenbelsen. Ciotka Janka zmarła w Bergenbelsen w lutym, a moja teściowa w marcu 1945 na tyfus. To jest tragiczna historia rodziny, polskiej rodziny, która była po prostu przez Niemców przeznaczona na zgubę.

Warszawa, 1999 r.

(1921-1942) III / 4-2

Wspomnienie o moim kuzynie Janie Kazimierzu Mackiewiczu ps. „Kordian” (Kowada)

Jaś Kazimierz Mackiewicz, syn Kazimierza i Jadwigi z Szyszków Mackiewiczów, urodził się 7 listopada 1921 roku w Wilnie. Wychowany był w bardzo religijnej i patriotycznej atmosferze. Zafascynowany był postacią Marszałka Piłsudskiego, zresztą u wujostwa Mackiewiczów był salonik poświęcony pamięci Marszałka. Ciocia Jadzia uczyła Jasia w domu, przerobiła z nim pierwszą klasę gimnazjum a do drugiej klasy poszedł do gimnazjum im. Czackiego. Po tym przeniósł się do gimnazjum im. Zygmunta Augusta. Był dzieckiem bardzo zdolnym, bardzo chłonnym. Interesowała go historia, szczególnie historia Polski, literatura. Miał zdolności plastyczne i lingwistyczne. Można powiedzieć, że był wszechstronnie uzdolniony.

Jasiek myślał, marzył o stworzeniu pasa bezpieczeństwa z państw Europy Środkowej, nie tylko współistnienia przyjaznego, ścisłej współpracy gospodarczej, ale i współdziałania obronnego przed zagrożeniem ze wschodu i z zachodu. Dyskutował na ten temat z kolegami. Koledzy jego, wychowani również patriotycznie (bo taka była kresowa młodzież, zresztą nie tylko kresowa), zawiązali grupkę dyskusyjną i jednocześnie samokształceniową. Bo tak jak myśleli, Polska potrzebuje ludzi z charakterem, etycznych i wykształconych. Jaś zdając sobie sprawę ze swego młodego wieku (miał wtedy 17 lat) szukał jakichś ludzi dorosłych, poważnych, którzy by go wsparli i w razie czego pomogli w tej ich działalności, bo ta cała grupka, która powstała, to się już nazywała „Ligą Wolnych Polaków”. Taką pomoc Jaś uzyskał u profesora Kwiatkowskiego, który jednocześnie był lingwistą, a więc zaczęły się też nauki języków, głównie słowiańskich na początek. Drugą osobą, która była bardzo pomocna przy tym samokształceniu, przy nadawaniu kierunku, to był zaprzyjaźniony z rodziną senator Perkowicz, właściciel majątku Stary Dwór niedaleko Wilna. Latem 1938 roku Liga Wolnych Polaków uzyskała w nim drugiego protektora. Do Ligi, poza Jasiem, założycielem, należeli między innymi Stach Kulesza, Jurek Igliński, Czesław Głazek, Mordkowicz (był karaimem) i jeszcze wielu.

W chwili wybuchu wojny Liga Wolnych Polaków była załączkiem dla przyszłych oddziałów walk o niepodległość. W dniu wkroczenia armii sowieckiej do Wilna Liga Wolnych Polaków wyłoniła z siebie Związek Wolnych Polaków. Związek Wolnych Polaków nie zaprzestał pracy nad samokształceniem i formowaniem charakterów, ale zaczął też w sposób konspiracyjny rekrutację małych grup młodzieży, najwyżej pięcioosobowych, do dalszej działalności. Od początku wojny do Wilna zaczęli napływać uchodźcy z różnych stron Polski i ranni. Związek Wolnych Polaków, przedtem jeszcze jako Liga, zajmował się pracami charytatywnymi, dyżurami na dworcach, kierowaniem rannych żołnierzy do szpitali, opatrywaniem rannych, kierowaniem rzeszy uchodźców do punktów, w których mogliby otrzymać pomoc. Jaś organizował pomoc na dworcach kolejowych, Jaś z koleżankami i kolegami w szpitalach dla rannych dawał przedstawienia. Jaś nad wszystkim nad czym mógł i nad kim mógł roztaczał opiekę. Był bardzo opiekuńczy, bardzo serdeczny, bardzo ludzki.

W Wilnie działało wtedy Towarzystwo Samopomocy Obywatelskiej, którego założycielem był ksiądz Kazimierz Kucharski. Towarzystwo niesło pomoc wszystkim potrzebującym jej. Do wujostwa Mackiewiczów przyjechały kuzynki z Warszawy a w niedługim czasie znalazł się też i mąż jednej z nich, kapitan Zieliński (późniejszy komendant miasta Wilna, pseudonim „Brzoza”). W tym czasie działały w Wilnie różne grupy konspiracyjne. Trzeba było jakoś ująć je w całość, zjednoczyć. Związek Wolnych Polaków poprzez kontakty z zaprzyjaźnionym księdzem Kucharskim został 28 grudnia 1939 r. po konsultacji przyjęty, włączony do Służby Zwycięstwu Polski pod dowództwem pułkownika Nikodema Sulika. Związek zachował jednocześnie autonomię. Mógł liczyć na pomoc w ewentualnych trudnościach przy szkoleniu wojskowym i był zobowiązany do wykonania pewnych prac dla całej organizacji. Wiele serca i sił wkładał Jaś w powstanie pisma, które miałyby jednocześnie informować obywateli Wilna o tym co się dzieje, przypominać im historię i wskazywać jak należy postępować, jak należy się zachowywać. Inaczej mówiąc przypominać im, że są Polakami. Już w październiku 1939 r. powstał kiluosobowy zespół redakcyjny. Na czele oczywiście stał Jaś, a poza tym jego dobry przyjaciel jeszcze z czasów Ligi Wolnych Polaków Staś Kulesza ps. „Walter” i młody, zwerbowany zaraz po wybuchu wojny, ale bardzo dzielny i pracowity, użyteczny w każdej pracy Tade-

1939

usz Dworakowski ps. „Stefan”. Współpracowała też i bardzo aktywnie działała z nimi siostra Jasia Mackiewicz, Maja. Pismo wydawane przez Związek Wolnych Polaków nazywało się „Za naszą i waszą wolność”. Był to dwutygodnik wychodzący w ilości około 400 egzemplarzy. W wypadku nagłej potrzeby powiadomienia mieszkańców Polaków, drukowano ulotki i wręczano albo rozsypywano je dosłownie na klatkach schodowych, w bramach, aby każdy mógł się dowiedzieć o czymś naprawdę dla mieszkańców miasta istotnym. Początkowo pismo powielano w wileńskim seminarium duchownym, bo byli tam zaprzyjaźnieni klerycy, którzy współpracowali z konspiracją. Ale wkrótce wprowadzili się tam klerycy litewscy i już drukowanie było rzeczą niebezpieczną. Od tego czasu pismo „Za naszą i waszą wolność” powielane było w mieszkaniach prywatnych, zakonspirowanych, stale zmienianych. Autorem większości artykułów byli profesor Kwiatkowski, Jaś, Stanisław Kulesza, Jurek Igliński. Byli również inni, których nie jestem w stanie wymienić. A było o czym pisać, tematów było mnóstwo. Najpierw pierwsza okupacja sowiecka, rabunek, wywożenie nie tylko ludzi, aresztowanie, ale wywożenie wszelkiego dobra, nawet węgla z magazynów kolejowych. 28 października Wilno i część Wileńszczyzny, tę zachodnią, przyłączono do Litwy, a resztę do Białorusi, która została w sowieckich rękach. Litwini na początku byli spokojni, ale już 2 listopada, gdy grupa mieszkańców i młodzieży ze śpiewem wyruszyła na Rossę z kwiatami i z krzyżem, żeby złożyć kwiaty i zapalić znicze przed mauzoleum Marszałka i żołnierzy, którzy go otaczają, konna policja rozproszyła w brutalny sposób zgromadzenie. Zaczęło się litwinizowanie Wilna, to znaczy usuwanie nazw ulic, usuwanie godeł polskich, zmiany nawet napisów szyldów na sklepach. Wszędzie narzucał się język litewski. W kościołach nawet dochodziło do bójek, bo nie wolno było modlić się po polsku, śpiewać polskich pieśni religijnych. A więc tematów dla pisma, jak widać, nie brakowało. W grudniu Litwini wprowadzili ustawę, która przyznawała prawa obywatelskie jedynie tym mieszkańcom, którzy przebywali na terenie Litwy nie tylko w czasie bieżącym, ale również w dniu 6 sierpnia 1920 r., przy czym osoby te w tamtym okresie winny już mieć powyżej 18 lat. Dzieci ich również otrzymywały obywatelstwo. A przecież wtedy w tamtym czasie większość mieszkańców Wilna i Wileńszczyzny brała udział w walkach o Polskę, a więc nie mogli być w Wilnie. W ten sposób rdzenni Wilnianie, mieszkańcy Wilna stawali się obcokrajowcami i podlegali różnym ograniczeniom. Mieli trudności w znalezieniu pracy, a jeśli pracę mieli, to ją tracili, byli zwalniani. W jeszcze gorszej sytuacji znaleźli się uchodźcy.

Na wydawanie pisma „Za naszą i waszą wolność” nie dostawał Jaś żadnych funduszy. Wszystkie potrzeby materialne: papier, farba, matryce, to wszystko działało się kosztem tych młodych ludzi, często ich obiadów, niezaspakajania nieraz najbardziej istotnych potrzeb. Taka ta młodzież była. A jak mówię, było o czym pisać. Litwini zamknęli Uniwersytet Stefana Batorego, Litwini litwinizowali szkoły, w związku z czym społeczeństwo polskie musiało się bronić w dziedzinie kulturowej i naukowej. Zaczęły powstawać komplety tajnego nauczania i to na szczeblu szkolnym, gimnazjalnym, licealnym, i jak się dało, uniwersyteckim. Jaś działał dosłownie całe dni. Pisywał artykuły, utrzymywał najrozmaitsze kontakty, uczył się i na kompletach tajnego nauczania, normalnie, bo był w klasie maturalnej, i uczył się też języków. A poza tym Jaś pisał zaszyfowaną powieść-pamiętnik. To była rzecz bardzo zaszyfowana. Akcja powieści, która pisał, toczyła się rzekomo w Afryce Południowej w okresie walk Anglików z Buraami. Osoby z towarzystwa Związku Wolnych Polaków miały tam swoich odpowiedników. Byli też i wrogowie. Powieść ta przejechała potem do Warszawy, niestety w czasie pobytu siostry Jasia w więzieniu na Mokotowie, uległa zniszczeniu. Jaś pisał wiersze, które również były odbiciem jego przeżyć. Te wiersze odnosiły się do czasu wojny, a jak dziś na to patrzę, to i do czasów obecnych. Jaś marzył o nawiązaniu bezpośredniego kontaktu z konspiracją polską na Litwie Kowieńskiej. Maja, siostra Jasia, w tym celu odwiedziła rodzinę mieszkającą od lat za granicą polsko-litewską. Konspiracja polska działała w pobliżu Kowna i w Kownie, natomiast jeśli chodzi o dalsze tereny to ludność polska była w bardzo trudnych warunkach i raczej była nastawiona tylko na przetrwanie. Jaś doszedł do wniosku, że w takiej sytuacji trzeba sprawę odłożyć na czas późniejszy.

Powiązania rodzinne wujostwa Mackiewiczów z kapitanem Karolem Zielińskim, komendantem miasta Wilna sprawiły, że mieszkanie wujostwa stało się punktem kontaktowym konspiracyjnych spotkań na tak zwanym wy-wysokim szczeblu. W związku z tym trzeba

3.

III / 1-4

było ograniczać spotkania Związku Wolnych Polaków ze względów bezpieczeństwa. W Związku Wolnych Polaków zaczęły się szkolenia wojskowe. Szkolenia teoretyczne odbywały się w zakonspirowanych mieszkaniach, a zajęcia praktyczne, które wymagały czasem wyjścia w teren, odbywały się, zależnie od pory roku, pod pretekstem wycieczek narciarskich albo majówek organizowanych w lecie w malowniczych okolicach Wilna.

1940 Litwini wzmagali, nasilali walkę z polskością. W maju 1940 r. Wilnianie zebrali się na Rossie dla uczczenia rocznicy śmierci marszałka Piłsudskiego. Jaś, który składał wieniec na płycie kryjącej serce Marszałka, został brutalnie, dotkliwie pobity przez Litwinów. Jednocześnie w prasie sowieckiej pojawiały się artykuły, które mówiły o prześladowaniu sowieckich żołnierzy przez Litwinów. Szykowały się już zmiany. Oskarżenia sowieckie nie dotyczyły tylko Litwy, były one również wymierzone przeciwko Łotwie i Estonii. 15 czerwca 1940 r. prezydent litewski Smetona uciekł z Litwy, a pojawił się nowy rząd komunistycznego dziennikarza kowieńskiego, którego wprowadziła sowiecka Armia Czerwona. Wszyscy obywatele Litwy stali się automatycznie obywatelami ZSRR. Dotyczyło to tak zwanych obcokrajowców również. W najgorszej sytuacji znaleźli się wychodźcy, uciekinierzy z innych stron Polski. Komunistyczni działacze polscy, jak siostry Dziewięckie, Putrament, Jędrzychowski, Wołkowicz, usiłowali wpłynąć na nich, na tych uchodźców z Polski centralnej, południowej, czy północno-zachodniej, i wmówić w nich jakie to wielkie korzyści ofiarowuje im Związek Radziecki. W tej sytuacji ci ludzie, bezdomni, bez pracy, potrzebowali naprawdę wielkiej opieki. Trzeba było im zapewnić byt. Również na młodzież polską, na młodzież w szkołach, na dzieci, naciski Komsomołu były olbrzymie. Prasa podziemna, a więc i „Za naszą i waszą wolność” musiała prowadzić pracę wychowawczą dla młodzieży, piętnując jednocześnie zdrajców z nazwiska i z przynależności. W niektórych wypadkach, szczególnie drastycznych, kierowano sprawy do sądu konspiracyjnego. Jednocześnie zaczęło się bardzo rozwijać tajne szkolnictwo wszystkich stopni w postaci kilkuosobowych grup. Nad całością szkolnictwa czuwał ksiądz Kucharski. Grupy konspiracyjne i komplety szkolne stanowiły jednocześnie podstawę do prowadzenia przysposobienia wojskowego i szkolenia sanitarnego. One się stały w późniejszym czasie bazą organizacji wojskowych. Tworzyły się sekcje, drużyny, plutony i kompanie. Podejmowano też rozmaite prace pomocnicze. Było zalecenie ZWZ, żeby dokładnie przygotować plany miasta. Chodziło o poszczególne fragmenty, dosłownie ulice, uliczki, zaułki, domy. Przekazywano to do Komendy, gdzie były opracowywane i łączone w całość z myślą o przyszłej walce. Starano się o broń, a to nie była rzecz prosta. Część była jeszcze zakopana z roku 1939, a więc starano się ją odzyskać, a inną jeśli się udało, to kupić, albo po prostu zdobyć. Jaś był wszędzie, jego wszystko interesowało, on nad wszystkim czuwał. Szczególną troską otaczał koordynację działań Związku Wolnych Polaków z całokształtem siatki podziemnej.

Jaś się nigdy nie chwalił, co zrobił, jak zrobił, bo poza tym, że sam był bardzo skromny to jeszcze i konspiracja narzucała pewne konieczne warunki. Praca konspiracyjna pochłaniała go całkowicie, jednocześnie utrzymywał przyjaźnie, ciepłe związki z pierwszymi przyjaciółmi z Ligi Wolnych Polaków i z pierwszego okresu działań Związku Wolnych Polaków, jak Stach Kulesza, Jurek Igliński, Czesław Głazek, Danek Zaborowski, Zbyszek Kuligowski, Tadeusz Dworakowski, Tadeusz Rymiński, siostry Popiugisówny, Zosia Matusiewiczówna, Renia Hodyko, Danusia Ciesielska, Halina Aramowiczówna, Czesiek Zujewski, siostry Olechnowiczówny, Romuald Kukułowicz, Kalunia Ozimkówna, Inka Bielousówna, Ziuta Borowska i zapewne jeszcze dużo więcej osób było z nim w zażyłej, wiernej przyjaźni.

Nad większymi zgromadzeniami Ligi Wolnych Polaków czuwała z oprawą ciocia Jadzia. No bo te zebrania, spotkania, odbywały się u wujostwa Mackiewiczów, a ciocia Jadzia zaraz jakiś tam placuszek upiekła, że to niby imieniny, urodziny, stroje musiały być odświętne, szkło na stole, nakrycia.

Rodzina Mackiewiczów utrzymywała serdeczne stosunki towarzyskie z rodzinami: Perkowiczów, Dworakowskich, Rymińskich, Kwiatkowskich, z panią Iglińską. Były to momenty odprężenia i jakiejś radości w tych stosunkach ciepłych, towarzyskich. Jaś to tak ujął: „...a największą nam siłą, najwierniejszym orężem, jest to serce co kocha i miłością zwycięża”.

1941 Nakład pisma „Za naszą i waszą wolność” rósł. Dochodził do 600 egzemplarzy i był przesyłany również na Litwę i na północną Białoruś. 19 marca 1941 r. został aresztowany

Tadeusz Dworakowski „Stefan”. Jak sam w swoim wspomnieniu w Kujbyszewie napisał, że śledztwa zorientował się, że wydał go Gustaw Gontarz, uczeń szkoły rzemieślniczej, który został zwerbowany do Związku Wolnych Polaków w styczniu 1941. Aresztowani zostali Zielińscy na ulicy, aresztowana została góra w ZWZ, łącznie z pułkownikiem Nikodemem Sulikiem. W tej sytuacji pułkownik Krzyżanowski postanowił usunąć się z Wilna, tym bardziej, że w mieszkaniu w którym mieszkał było już najście policji, jego na szczęście nie zastali. Jeszcze przed aresztowaniem Zielińskich Jaś dostał rozkaz, żeby nie nocował w domu. Zmieniał więc często miejsce noclegów i bardzo na to narzekał, bo jak już mówiłam, on był bardzo aktywny. To był naprawdę działacz niepodległościowy i społeczny. Ta wzmozona działalność konspiracyjna miała być pewnego rodzaju alibi dla już aresztowanych i aresztowanego przyjaciela wielkiego Ligi Wolnych Polaków, Związku Wolnych Polaków, profesora Kwiatkowskiego. Jaś się starał, żeby pismo wychodziło regularnie bo to też jest alibi.

Od czasu do czasu nocował u sąsiadów, na górze, to jest w tym samym domu ale piętro wyżej. Pewnej nocy marcowej przyszło NKWD. Matka Jasia i siostra powiedziały, że Jasia nie ma, a na to oni: „to na górę, idziemy na wierch”. Przeprowadzili Jasia z góry i zaczęła się rewizja. W mieszkaniu nic nie znaleźli, ale rano zabrali Jasia. Ciocia Jadzia i Maja zastanawiały się, skąd NKWD wiedziało, że trzeba iść na piętro, przecież było tylu innych sąsiadów, ale przypomniały sobie, że jedna z sąsiadek, z którą 10 lat sąsiadowały, pytała tego dnia o pana Jasia i bardzo starała się zobaczyć, dokąd on idzie. Ciocia Jadzia i Maja w ogródku na podwórku starały się odwrócić jej uwagę, ona musiała patrzeć w które drzwi Jaś wchodzi. „O, pan Jaś jest”. Trudno było uwierzyć, że sąsiadka mogła wydać, ale kiedyś wieczorem zobaczyły ją spacerującą z oficerem NKWD.

Po aresztowaniu pułkownika Sulika, funkcję komendanta okręgu wileńskiego ZWZ powierzono pułkownikowi Krzyżanowskiemu, który objął ją rzeczywiście i w przebraniu chłopa przyjeżdżał do Wilna w pilnych sprawach. Aresztowany został również ksiądz Kucharski. Gwałtownie nasiliły się wywózki. Po mieście bez przerwy krążyły ciężarówki, które zabierały ludzi z domów. Niektórzy byli już na to przygotowani i mieli bagaż i odpowiednie ubranie na sobie. Zabierano wszystkich. I tych, którzy coś znaczyli: lekarzy, nauczycieli, urzędników, ale i robotników. Najbezpieczniej było w środkach komunikacji miejskiej, więc wiele osób jeździło cały dzień. Odchodziły transporty na wschód. Długie szeregi wagonów. A Jaś był poddawany okrutnym badaniom w piwnicach NKWD przez długi okres. Przez miesiące znęcano się nad nim fizycznie tak, że nie mógł już nawet przełknąć łyka wody. Odesłano go wtedy, tak ciężko pobitego, okrutnie zmaltretowanego, do szpitalika więziennego. W rannych godzinach 23 czerwca na terenie szpitalika więzienia przy ul. Stefańskiej były okrzyki, bieżanina, hałasy, a potem nastąpiła długa cisza, a potem znowu gwar wielki i hałas. To mieszkańcy Wilna przyszli otworzyć zamkniętą bramę więzienną. Jaś i jego towarzysz z celi przy pomocy ławy więziennej sforsowali z trudem drzwi celi dzielące ich od wolności. Jaś był chory, był tylko w bieliźnie, okrył się więc kocem i w takim stroju przyszedł do domu. Zapewniał przedtem kolegów, swoich współwięźniów, że na swoje imieniny wróci do domu. Gdy ciocia przygotowywała mu kąpiel dziwiła się, że nie jest wychudzony, że pozornie dobrze wygląda, taki żółtawy odcień skóry ma, nie wiedziała, że to od bicia w czasie badań. Na wiadomość o powrocie Jasia przyszedł pułkownik Krzyżanowski. Uściskali się z Jaśkiem serdecznie, ze łzami w oczach. Zjawiali się wszyscy przyjaciele, bliscy, koledzy, którym udało się przetrwać poprzednią okupację. Ruch w domu wujostwa był wielki. Jaś nie odpoczywał długo po przejściach więziennych, włączył się w nurt pracy, a więc w redagowanie, pisanie artykułów, zdobywanie broni, powiększanie stanu liczebności członków, organizowanie wszystkiego co było normalnie potrzebne w przewidywanych walkach, dywersji i dla ochrony ludności polskiej. Wilno zmieniło okupanta

Sytuacja Polaków na Wileńszczyźnie, mieszkańców tych ziem, które zostały przyłączone do Litwy, była bardzo nieciekawa. Litwini przystąpili do ścisłej współpracy z hitlerowcami. Powstał odpowiednik Gestapo, litewska Saguna. Napływali do policji bardzo liczni ochotnicy Litwini. Powstały oddziały egzekucyjne, tak zwanych strzelców ponarskich, które dokonywały bestialskich mordów na więźniach w lesie w Ponarach. Zaczęły się żelazne rządy niemiecko-litewskie. Liga Wolnych Polaków gromadziła się na swoich zebraniach, Związek Wolnych Polaków pracował, rozwijał się, a tymczasem zagrożenie wzrastało z dnia na dzień. A Jaś

29 IX 41

5

III/1-6

bardzo pracował. W domu był już rzadkim gościem, stale gdzieś pędził. Jak zawsze pogodny, uśmiechnięty, spokojny. 29 września 1941 r. późnym bardzo wieczorem przyszło dwóch gestapowców litewskich po Jaśka. Zaczęła się rewizja, tym razem bardzo dokładna. Było już jasno, jak wyprowadzili Jaśka. Nic nie znaleźli, ot po prostu stary odbiornik radiowy tylko. W tym czasie aresztowano sporą gromadę ze Związku Wolnych Polaków. Jaś przechodził okrutne śledztwo. Ale powstała epidemia tyfusu, przeniesiono go do szpitala więziennego na Stefańską i tam ciocia Jadzia mogła go odwiedzać i dostarczyć mu do szpitala wszystko co tylko było możliwe. Pewnego dnia przybiegła ze szpitala zapłakana pielęgniarka do Cioci z wiadomością, żeby nie przychodziła już do szpitala, a szukała Jasia w więzieniu. Lekarz ostrzegł już ciocię Jadzię, że nie mają już podstawy, żeby go można było na tyfus dalej trzymać. Zastrzyknęli mu więc mleko, w ten sposób podniosła się temperatura, myśleli że go uratują, że przedłużą w ten sposób jego pobyt w szpitalu, ale oprawcy, którzy zjawili się w szpitalu, na słowa lekarza, że to chory człowiek, i ci inni, których zabierają to też są chorzy, odpowiedzieli: „my ich możemy uzdrowić w ciągu jednej chwili”. Koledzy chcieli odbić Jaśka ze szpitala, ale poniechano tego ze względu na olbrzymie ryzyko. Jasiek przeszedł pół roku straszego śledztwa, wytrzymał wszystko. Ostatni gryps, jaki przysłał, to był taki: „Trzy znam ja prawdy, oto one: Ojczyzna, Naród, Chrystus Król. Choć umęczone ciało skona, sam duch zwycięży poświst kul”.

+12V 42

Jaś Kazimierz Mackiewicz, twórca Ligi Wolnych Polaków, twórca Związku Wolnych Polaków, został zamordowany przez strzelców ponarskich 12 maja 1942 roku w Ponarach.

Przed paroma dniami był 11 listopada 1996 r., święto Niepodległości. Reporterzy z telewizyjnej „Panoramy” zaczepiali na ulicy ludzi młodych, bardzo młodych, w średnim wieku, starszych, i pytali, z czym im się ta data kojarzy. Niestety odpowiedzi większości młodych były żenujące, oni po prostu nie wiedzieli na ogół o co chodzi. Może ten wiersz Jasia, który on kiedyś napisał, jest tak bardzo aktualny?

„Polsko, w życiu mi każesz, żebym kochał
wszystko co Twoje: i tę zawiść cierpką,
ckliwe pochlebstwa, które szeptał chochoł...
I Twoją wielkość tragiczną i krwawą,
Twojej poezji jasne, żywe tony.
Twojej filozofii, religii, moc prawa...”

Wodzów Twych piękno geniuszem owiane,
najtwardziej weszło w tkanki mojej duszy
myślałem - ono wszystko zło pokruszy,
wybieli krwawe serca mego ściany...

Polsko, czy zawsze o Tve czyste szaty
musi się otrzeć brud, niesprawiedliwość,
aż się zamąci Twa najczulsza tkliwość
nad losem synów Twojej rodzinnej chaty?...
Czy nieodłącznie jak polip na rafie
na twej wielkości żerując, chimery
nie szczepną kiedyś i na strony cztery
się nie rozleca, rozpędzone wiatrem?...

Czy nad historią stojąc nie potrafisz
rozpoznać prawdy i blasków epoki?...
Czy nad rozległym państwowym teatrum
nie znajdziesz ciszy? Takież Tve wyroki?...”

Napisałam to na podstawie własnych wspomnień i materiałów dostarczonych przez siostrę Jasia Mackiewicza - Maję.

Wanda Dramińska

Kobiety



Siostry Nazaretanki z Nowogródka

Nowogródek przed wojną był miastem wojewódzkim, zamieszkałym przez Polaków, Białorusinów, Tatarów i Żydów. Miał swoją historię. Tu, w kościele farnym imienia Przemienienia Pańskiego (kościół był wtedy nieduży, drewniany) odbył się ślub Władysława Jagiełły z Sońką Holszańską, księżniczką. To była czwarta żona Jagiełły. Z tego małżeństwa wywodzi się całe jagiellońskie potomstwo. Tu, w 1799 r. został ochrzczony syn państwa Barbary i Mikołaja Mickiewiczów, i otrzymał na imię Adam.

W 1929 r. przybyły do Nowogródka siostry Nazaretanki, te które postawiły sobie jako cel szerzenie królestwa Bożej miłości, przede wszystkim wśród rodzin, a także opuszczonych i tych, co mieli kłopoty z własnym życiem. W 1931 r. siostry Nazaretanki założyły w Nowogródku szkołę. Napływ dzieci był tak duży, że trzeba było ją rozbudować: powstał piętrowy szkolny budynek. Poza tym siostry prowadziły kursy robót ręcznych, na które było mnóstwo chętnych, spotkania towarzyskie, albo w karnawale organizowano bale, tańce. Pieśni polskie, białoruskie i tatarskie słychać było na tych balach. Mieszkańcy Nowogródka szybko przekonali się, że do sióstr można przyjść z każdą sprawą, z każdą trudnością, z każdym zmartwieniem, cierpieniem. Poprosić o modlitwę. I jakoś się tak udawało, że one wymadlały sprawy zdawałoby się trudne z ludzkiego punktu widzenia. Odwiedzały chorych, samotnych, biednych, opuszczonych. I uczyły.

Dla Nowogródka wojna zaczęła się 17 września 1939 r., kiedy doszły wiadomości, że wojska sowieckie przekroczyły granice Rzeczypospolitej. Miasto zajęli Sowieci. Siostrom oczywiście odebrano szkołę, przecież one w niej uczyły miłości do Boga i ludzi. Zabrano też ich dom, zniknęły habity. Jedna z sióstr nie zdjęła habitu. Na słowa: siostrzo, po co się narażać?, odpowiedziała: nie mam nic do stracenia, prędzej połączę się z Jezusem na wieki. A sióstr było 12: siostra Stella, Imelia, Rajmunda, Daniela, Kanuta, Sergia, Gwidonia, Felicyta, Heliodora, Kanizja, Boromea i Małgorzata. Siostry musiały się teraz troszczyć i o mieszkanie i o byt, jakieś zajęcie. Pracowały jako sprzątaczkі w szkole. Dyrektor szkoły, Rosjanin i członek partii, obserwując pracę trzech sióstr, doszedł do wniosku, że im można zaufać, nie kradną. A więc wziął sobie jedną, aby sprzątała mu w mieszkaniu. To była siostra Heliodora. Ona sprawiła, że w domu partyjnego dyrektora pojawił się krzyż na ścianie, religijne obrazy i uroczyście, że łzami w oczach, obchodziło się święta Wielkiej Nocy. Inne siostry pilnowały gospodarstwa u znajomych, sprzątały, a poza tym to po domu uczyły, przygotowywały do pierwszej komunii i uczyły historii Polskiej, prowadziły lekcje konwersacji w języku francuskim, starały się jak tylko było można.

Życie religijne w Nowogródku pod okupacją sowiecką bardzo się ożywiło. Do kościoła przychodziło dużo młodzieży. Nabożeństwo odprawiał ksiądz kapelan Zienkiewicz. Po niecałych 2 latach sytuacja się zmieniła. Zmienił się okupant i siostry mogły już chodzić w habitach. W kościele stało 12 klęczników. Mszę odprawiał jak zawsze ksiądz Zienkiewicz. Dwunasty klęcznik na początku każdej mszy był pusty, bo siostra Małgorzata pracowała w szpitalu w świeckim stroju, i nie mogła nadażyć na początek mszy, zawsze się troszkę spóźniała.

Zaczęły się aresztowania. Skazano na śmierć znanych siostrom ojców rodzin, synów jedynaków. Modliły się i mówiły: "Panie, może nas zamiast nich". Tak się stało, że został zmieniony rozkaz, wstrzymano rozstrzelanie, i tych aresztowanych wywieziono w głąb Niemiec. Gestapo zaczęło poszukiwać księdza Zienkiewicza. Siostry prosiły, modliły się: "Panie, raczej nas nie jego, bo on jest tu bardziej potrzebny". 31 lipca 1943 r. do domu sióstr przyszedł Niemiec i przekazał rozkaz od komisarza, że wszystkie siostry, na czele

z siostrą przełożoną, mają się stawić o 7³⁰ w komisariacie. O 6⁰⁰ rano rozpoczęło się nabożeństwo różańcowe. Ksiądz Zienkiewicz skrócił je, pobłogosławił siostry, one poszły zgodnie z poleceniem Niemca. Poszło ich 11, bo siostra Małgorzata, zgodnie z wolą siostry przełożonej Stelli, miała zostać, żeby się opiekować księdzem kapłanem Zienkiewiczem. Wierni przyszedli do kościoła na mszę, a klęczniki puste. "Gdzie są siostry, co się z nimi stało?" Ksiądz Zienkiewicz, po nabożeństwie, jako jedyny kapłan w mieście, poszedł do kościoła św. Michała, i usiadł w konfesjonale. Ktoś klęknął z drugiej strony i powiedział: "dzisiaj rano siostry zostały rozstrzelane". Aż trudno uwierzyć, że tak się stało. Siostrą Małgorzata ocalała. uratował ją też Niemiec, dyrektor szpitala, który dowiedziawszy się, co się stało z 11 siostrami, znalazł się w miejscu, gdzie siostry mieszkały, i gdzie Niemcy wyciągali ich rzeczy, i teczkę (a było teczek 12). jedną teczkę chwycił i powiedział: "proszę wpisać tę siostrę do rejestru zmarłych". Spotkał przypadkowo siostrę Małgorzatę, powiedział: "siostra u mnie pracuje, proszę jutro przyjść do pracy".

Ocalał również ksiądz Zienkiewicz. Odprawiał nabożeństwo i ktoś mu szepnął przy rozdawaniu komunii, że Niemcy są pod kościołem po księdza. Ksiądz drugimi drzwiami wyszedł, a siostrą Małgorzata w cywilu składała szaty liturgiczne. Niemcy wpadli, "gdzie jest ksiądz?", ale żeby wpaść do kościoła musieli się przedrzeć przez masę ludzi, którzy z kościoła wychodzili, "gdzie jest ksiądz?" - "a, przed chwilą wyszedł". Ocalał, u znajomych przebrał się w cywilne ubranie i na jakimś stryszku przetrwał.

5 marca 2000 r. Ojciec Święty Jan Paweł II wyniósł te 11 sióstr na ołtarze, bo nie ma większej miłości, niż tę, kiedy ktoś życie oddaje za innych.

Warszawa, kwiecień 2000 r.

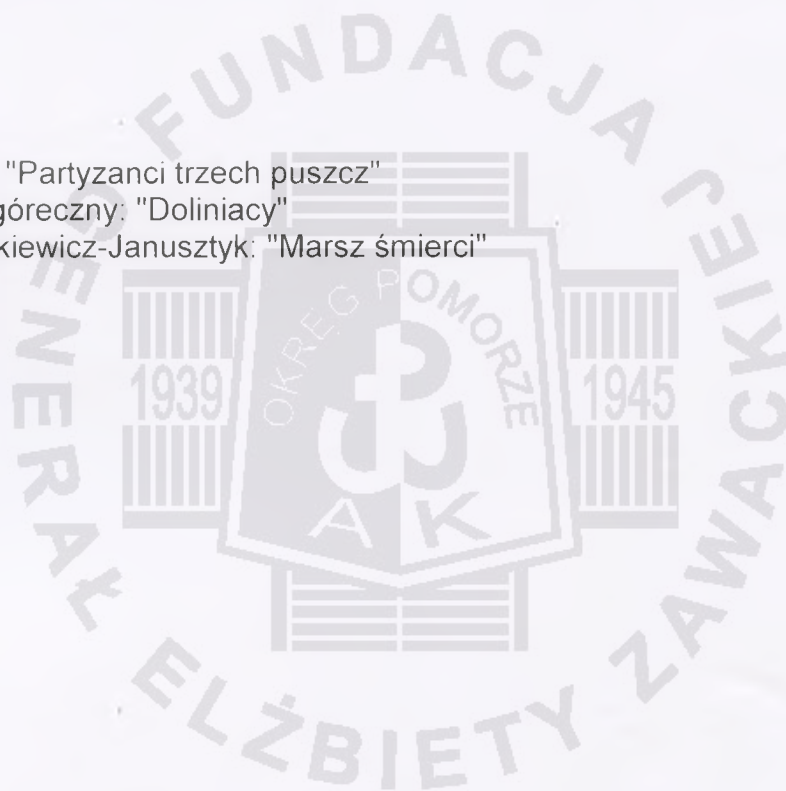
Halina Drucko-Podbereska

Halina Drucko-Podbereska, pochodząca z rodu książęcego, od końca 1939 r. była łączniczką Kleofasa Piaseckiego zwanego "Lolkiem". Ta młodzież zbierała porzuconą broń, mapy sztabowe, środki opatrunkowe, wszystko co się mogło przydać. Zostali aresztowani "Lolek" i Halina Drucko-Podbereska, a poza tym inni członkowie grupy. We wrześniu 1940 r. Halina Drucko-Podbereska przebywała aż do 1941 r. w Baranowiczach, a potem w Mińsku. Szła w słynnym marszu śmierci. Marsz przeżyła i wróciła na tereny Puszczy Nalibockiej, stała się łączniczką i sanitariuszką, taką objazdową sanitariuszką. W czasie operacji "Herman" w 1943 r. została złapana wraz z całą grupą w Puszczy Nalibockiej. Ponieważ nie była w mundurze, ale w cywilu, innych rozstrzelano a ją powieszono. Ostatni jej okrzyk był: "Jeszcze Polska nie zginęła!".

Warszawa, listopad 2000 r.

Bibliografia:

- Adam Pilch: "Partyzanci trzech puszczy"
- Marian Podgóreczny: "Doliniacy"
- Janina Stankiewicz-Januszyk: "Marsz śmierci"



III/2-4

Sabina Kalinowska

Sabina Kalinowska, ps. "Sabina", kierowała komórką łączniczek w 3 Brygadzie AK w Wilnie. Dowódcą brygady był kapitan Gracjan Fróg, ps. "Szczerbiec". "Sabina" przyprowadzała do brygady nowych ochotników, wynajdywała bezpieczne mieszkania w Wilnie, bezpieczne o tyle, że w nich mogli się leczyć ranni partyzanci. Łączniczki "Sabiny" wyspecjalizowały się w kontaktach między partyzantami a ich rodzinami w Wilnie. Wszystko oczywiście musiało być jak najbardziej bezpieczne. W czasie bitwy pod Pawłowem (Pawłów to taka nieduża wioska), w której część brygady została zaatakowana przez Litwinów, ranny został w brzuch partyzant "Śmigły". Rana była ciężka. "Sabina" o zmierzchu i nocą przewiozła tego partyzanta furmanką do Kolonii Wileńskiej, skąd dzięki kontaktom konspiracyjnym zawieziono go do Wilna do Szpitala Św. Jakuba na operację. Niestety jednemu z lekarzy, Litwinowi, wydała się ta rana w brzuch od kuli podejrzaną i zawiadomił gestapo. Sytuacja "Śmigłego" była bardzo zagrożona, musiał zniknąć ze szpitala. Powiadomiona o tym "Sabina", razem ze swoją siostrą, wykradła "Śmigłego" ze szpitala i ukryła w Kolonii Wileńskiej, gdzie dochodził do zdrowia. Po zdradzie sowieckiej "Sabina" została osadzona na Łukiszkach. Potem wywieziona do Kaługi do obozu dla akowców. Pod koniec roku 1944 została zwolniona, wróciła do Wilna, ale została znowu aresztowana przez NKWD. Po pewnym czasie udało się rodzinie wykupić ją za złote ruble. Odtąd ukrywała się i pod fałszywymi papierami wyjechała z Wilna pociągiem repatriacyjnym. W sierpniu 1947 r. wyszła za mąż za Mariana Korejwo, ps. "Milimetr", akowca z brygady "Szczerbca".

Bibliografia

- Zygmunt Kłosiński: 3 Wileńska Brygada
- Marian Korejwo: Moje ścieżki partyzanckie

Warszawa, grudzień 2000 r.

Wspomnienie o Irenie Molak

Irena Molak, z domu Niżnikowska, urodziła się 20 listopada 1926 r. w Warszawie jako córka Jana i Zenobii Zmilewskich. Ojciec Irki, Jan, był ekonomistą po Wolnej Wszechnicy, pracował w wojsku. Matka wymagała od trójki dzieci, żeby poza nauką w szkole jeszcze się uczyły gry na fortepianie, a więc trójka dzieci państwa Niżnikowskich uczyła się w Wyższej Szkole Muzycznej im. Fryderyka Szopena, a Irka jeszcze chodziła do szkoły baletowej Tatiany Wysockiej. Mieszkali w Warszawie przy ulicy Żąbkowskiej, Irka chodziła do wybuchu wojny do szkoły pani Jabusiewicz. Szkoła pani Jabusiewicz była szkołą prywatną, po wybuchu wojny została zlikwidowana, Irka uczyła się na tajnych kompletach i zrobiła maturę w szkole im. Emilii Plater. Maturę otrzymała już po wojnie, po powrocie z obozu. Po wojnie wstąpiła na Wydział Stomatologiczny Akademii Medycznej w Warszawie, który ukończyła i pracowała, głównie w szkolnictwie. Miała dwoje rodzeństwa, starszą siostrę Marię, która ukończyła medycynę i została profesorem, i młodszego brata Jerzego, który jest inżynierem. Irka na początku 1940 r. wstąpiła do tajnego polskiego Harcerstwa, Szarych Szeregów. Zajmowała się kolportażem, przechodziła szkolenie sanitarne, robiła wszystko to, co jej zlecono. Drużynową była Irena Krauze.

11 kwietnia 1944 r. trzech chłopcy z "Parasola" po udanej akcji wrócili do pokoju sublokatorskiego, wynajmowanego przez jednego z nich. Akcja była udana, zdobyto broń. Byli to: "Ziutek" - Józef Szczepański, autor pieśni "Pałacyk Michła, Żytnia, Wola...", Józef Justyn Ignatowicz, ps. "Figa" i wstawiony udziałem w zamachu na Kutscherę "Miś" - Michał Issajewicz, który dołączył do "Parasola" z 27 Dywizji Wołyńskiej. W nocy wkroczyło gestapo do pokoju, który wynajmował "Ziutek" od państwa Kłodzińskich, zaczęła się strzelanina. Zabili Niemca, który wtargnął do nich, ale zaczęła się wielka strzelanina, i w końcu "Ziutek" wyskoczył przez okno wyrzucając przedtem granaty, spadł na dach samochodu niemieckiego, i uciekł. "Figa" został zabity, a "Miś" został osadzony w obozie koncentracyjnym Stutthof, i przebywał tam do końca wojny. Całe nieszczęście polegało na tym, że "Ziutek" wyskoczył bez marynarki, w marynarce miał notes a w nim adresy, a on był znany tym Niżnikowskim i innym rodzinom na Pradze, doskonale znanym w Harcerstwie. Zaczęły się aresztowania. W nocy 14/15 kwietnia złapano rodzinę Niżnikowskich, matkę, dwie siostry, brata który był mały, prócz ojca, bo ojciec był wtedy z wojskiem w Rumunii. Jeszcze jak ojciec był w Rumunii, matka wynajęła pokój osobie, która miała fałszywe papiery i była z małym dzieckiem. Jak ładowano wszystkich do budy, to ponieważ Jurek Niżnikowski był drobny, mały, a to dziecko było czteroletnie, to jego Niemiec wyrzucił, żeby się opiekował dzieckiem.

Rodzina Kłodzińskich, od której "Ziutek" odnajmował pokój, została również aresztowana i razem ze znajomymi rozstrzelana w ruinach getta. Należy sądzić, że to wkroczenie hitlerowców na ulicę Długą do mieszkania państwa Kłodzińskich było wynikiem donosu. Przewieziono wszystkich najpierw w Aleję Szucha, a potem na Pawiak, na Serbię. Starsza siostra Irki, która była wtedy chyba na czwartym roku medycyny, trafiła do pracy w szpitalu więziennym. Na dzień, dwa dni przed wybuchem Powstania cały Pawiak zlikwidowano. Pracowników szpitala zwolniono, chorych uduszono. Kobiety więzione na Serbii zawieziono do obozu koncentracyjnego Ravensbrück. Po tym część z nich pracowała w komandzie Neubrandenburg. Przy ewakuacji obozu część kobiet uciekła. Irka wróciła do Warszawy, mama później.

Irka wróciła bardzo wyczerpana, przez parę lat chorowała. Stale chodziła obandażowana bo tak jakby jej ciało gnęło. W ogóle nie za dużo się ruszała, raczej leżała. W końcu podjęła studia.

Irka miała troje dzieci, dwie córki i syna. Miała wnuki, była osobą bardzo dobrą, słodką, współczującą i pełną życzliwości dla bliźnich. Ostatnie lata swego życia bardzo chorowała, cukrzyca, nerki, krążenie, z wielkim trudem poruszała się w swoim mieszkaniu. Zmarła 20 czerwca 1999 r. Czesz jej pamięci!



Uwaga:

- na dyskiecie wszystkie pobawki, które są naniesłem ołówkiem do indeksu są już naniesione

„MOJE WSPOMNIENIE O WANDZI STRASZYŃSKIEJ-BOSACKIEJ”

Na ul. Uniwersyteckiej 1, róg ul. Mianowskiego, moi wujostwo Wilamowscy mieli aptekę. Wujek (ukończył studia w Dorpacie) zmarł w czasie oblężenia Warszawy w 1939 dosłownie na ulicy, w drodze z apteki do mieszkania (Wujostwo mieszkali na ul. Ordynackiej). Dom, w którym była apteka razem z Wawelską 60, Pługa 3 i Mianowskiego 15, tworzył zamknięty czworokąt, zwany po Powstaniu Warszawskim jako słynna Reduta Wawelska. Ciocia Marta Wilamowska powierzyła prowadzenie apteki mgr. Marcinkowskiemu, uciekinierowi z Łodzi. Moja Mama „trzymała” kasę apteki. Często do telefonu przychodził p. Olgierd Straszyński. Mama go kiedyś zapytała, czy nie zna jakiejś dobrej nauczycielki muzyki? Chciała, żebym mimo wojny dalej uczyła się fortepianu. Mimo, że sama dobrze grała, wolała żeby uczył mnie ktoś obcy, to by mnie zdyscyplinowało. Pan Straszyński skierował mnie do swej siostry, Wandy, mieszkającej przy ul. Mianowskiego 24. I tak poznałam wspaniałego człowieka Wandę Straszyńską-Bosacką. Dzięki uprzejmości p. Wandy Straszynskiej, wdowy po znakomitym drygencie Olgierdzie, dowiedziałam się, że Wandzia urodziła się w 1908 r. W Kijowie. W wieku ośmiu lat straciła matkę. Matczyną opiekę nad nią i dwunastoletnim Olgierdem przejęła starsza siostra Irena, która już ukończyła studia matematyczne. Ojciec rodziny był w Rosji dyrektorem kolei. Do Polski przyjechali razem z cofającymi się z pod Kijowa Oddziałami Wojska Polskiego. Wandzia po uzyskaniu matury ukończyła Konserwatorium Warszawskie, wydział pianistyki. W 1934 r. wyszła za mąż za Zbigniewa Bosackiego, człowieka muzycznego, dobrego pianistę. Pracował w Urzędzie Ubezpieczalni. Wandzia oddała się pedagogice i uczyła grać na fortepianie. Jaka była? Promienna, szczerą, bardzo ludzka, serdeczna z sercem dosłownie na dłoni. Miała takie świetliste spojrzenie. Dziś ludzi o takiej kulturze ducha bardzo rzadko się spotyka. Uczyła mnie fortepianu a w 1941 r. wciągnęła do konspiracji, do farmacji W.S.K (Wojskowa Służba Kobiet) w oddziałach sanitarnych. Wandzia pełniła kolejno funkcję sekcyjną, dowódcy drużyny a od 1943 była dowódcą plutonu sanitarnego. W moim mieszkaniu na ul. Filtrowej 62 m.50 odbywały się często zebrania szkoleniowe i ćwiczenia wojskowe. Wyznaczono je też na punkt zborny. Byłam już sekcijną. U mnie Wandzi spędziła dziesięć początkowych dni Powstania, aż do wypędzenia wszystkich na Zieloniak. Wandzia została wywieziona na roboty, do niemieckiej fabryki amunicji. Wróciła z młodą dziewczyną Haliną Strąkową, która nie miała niktogo z rodziny. Mąż Wandzi, Zbyszek Bosacki, zginął w więzieniu w Görlitz w niewyjaśnionych okolicznościach. Wandzia bardzo to przeżyła. Zamieszkała z Halinką, która wyszła za mąż za wdowca z dwojgiem małych dzieci. Jedno z tych dzieci, dziewczynka, było opóźnione w rozwoju i miało bardzo częste ataki epilepsji. Dziecko to wymagało stałej opieki. Drugie dziecko, chłopak, sprawiało duże trudności wychowawcze. Wandzia ze swoim anielsko-dobrym sercem po pracy-uczyła fortepianu w szkole muzycznej im. Oskara Kolberga-(opiekowała się tym chorym dzieckiem). Ze dwa razy po wojnie odwiedzałam ją, ale widziałam, że przy tym stanie zdrowia dziewczynki odwiedziny są bardzo wyczerpujące dla Wandzi. Człowiek przecież nie może się rozdwoić. Pozostały tylko kontakty telefoniczne, krótkie z tych samych powodów. Wandzia była wyczerpana tą opieką. Była już na emeryturze. Traciła siły. Ta przedobra kobieta odeszła do Pana 19 lutego 1988 r.

wb. też „Zagrody”
kerka Jakubianin Alf.

Januszowi Jani Profesor
Sandra Straszynska

Irena 9.06.98

mejszym



Porucznik Stanisław Mateusz Winter

Porucznik Stanisław Mateusz Winter, pseudonimy „Stanley”, „Biały”, „Ściopka”, „Rudy”, urodził się 9 lutego 1908 r. w Nowym Sączu. W 1939 r. walczył w 2 Brygadzie Górskiej. Później internowany był na Węgrzech, skąd uciekł do Francji, walczył w Wojsku Polskim we Francji, potem się przedostał do Wielkiej Brytanii, przeszkolony został w zakresie dywersji, skoczył do kraju 1 września 1942 r. Otrzymał przydział do Okręgu AK Nowogródek jako komendant Ośrodka Nieśwież w Inspektoracie Rejonowym Baranowicze. Ośrodek w Nieświeżu miał kryptonim „Strażnica”.

Bardzo dużo zdziałał porucznik „Stanley”: rozbudował siły akowskie do wielkości batalionu, który nazwany był 3 baonem 78 Pułku Piechoty Strzelców Słuckich. W okresie „Burzy”, batalion działał niszcząc obiekty i środki transportu. W operacjach dywersyjnych utrudniających zaopatrzenie frontu wschodniego batalion „Stanleya” był bardzo aktywny. Bolszewicy parli do przodu i zajęli Nieśwież. W tej sytuacji „Stanley” postanowił dotrzeć do porucznika Góry do Puszczy Kampinoskiej. Ale niestety, zostali otoczeni i po wielu różnych przygodach, łącznie z więzieniem do Związku Sowieckiego, gdzie chciano ich wcielić do Armii Czerwonej, ale oni wszyscy udawali, że nie znają języka rosyjskiego. A więc ich wcielili do armii Berlinga, do Wojska Polskiego. W II Armii Wojska Polskiego został awansowany do stopnia kapitana. Mateusz Winter nie używał swego nazwiska, występował pod przybranym nazwiskiem Jan Hryniewicz. Nie ujawnił też, że jest „cichociemnym”. Został aresztowany w czasie walk nad Nysą Łużycką. Kontrwywiad oskarżył go, że był działaczem, dowódcą AK na terenach przyłączonych do ZSRR. Ale sąd uniewinnił „Stanleya”. Aresztowano go powtórnie, podając że jest spadochroniarzem, a więc imperialistycznym agentem. Nawet mu udowodniano, że on namawia żołnierzy do dezercji. Tym razem sąd, w innym składzie, skazał go na karę śmierci. Wyrok wykonano w Poznaniu w 2 połowie czerwca 1945 roku, a więc już po zakończeniu wojny. Został rozstrzelany pod nazwiskiem Hryniewicz, bo bał się o swoją rodzinę, że też będzie pociągnięta do odpowiedzialności. Został odznaczony, jeszcze na ziemi nowogródzkiej, krzyżem Virtuti Militari i srebrnym Krzyżem Zasługi z mieczami.

Warszawa, listopad 2000 r.

Wanda Bogusławska-Dramińska

Bibliografia

- Jędrzej Tucholski: „Cichociemny”
- Marian Podgóreczny: „Doliniacy”
- Cezary Chlebowski: „Wachlarz”

TU/2-9
M. po "Dan"

Porucznik kawalerii Jerzy Piestrzyński „Helski” i porucznik piechoty Franciszek

W 1943 r. z obozu dla oficerów, z oflagu w Dösel, podkopem, który był wykonywany w ciągu długich miesięcy, wydostało się skrycie kilkudziesięciu polskich oficerów. Po wydostaniu się, wielka część udała się na Zachód. Co się z nimi stało, nie wiadomo. 10 postanowiło wrócić do Polski. Podzielili się na 5 grup i po dwóch po różnych przygodach dotarli do Polski. Między nimi był porucznik kawalerii Jerzy Piestrzyński „Helski” i porucznik piechoty Franciszek, o nie ustalonym nazwisku, noszący pseudonim „Dan”. Skierowani zostali do Okręgu Nowogródzkiego, obydwaj trafili do Zgrupowania Stołpecko-Nalibockiego. Walczyli bardzo dzielnie, byli wspaniałymi dowódcami, polegli obydwaj w bojach powstańczych o Warszawę w sierpniu 1944 r.

Warszawa, listopad 2000 r.

Wanda Bogusławska-Dramińska

Bibliografia

Adam Pilch: „Partyzanci trzech puszczy”

Marian Podgóreczny: „Doliniacy”

Wanda Dramińska

1 III / 2-10

kwiecień

Wspomnienie o Mietku Zieleniewskim. + X 43

Kp. O. V. K. D. D. W. U. S. C. H. O. D. N. I. " na granicy "

Mietek urodził się w 1923 r. jako syn Tadeusza i Heleny z Hryniewieckich-Zieleniewskich. W 1923 r. zdał maturę w gimnazjum Stefana Batorego i zdał egzamin do Korpusu Kadetów. W 1939 r. został członkiem ZWZ – przyjęty do członu łączności. Przeszedł szkolenie specjalistyczne – kurierskie. Równocześnie uczęszczał do tajnej podchorążówki, którą ukończył w 1942 r. w stopniu kaprała podchorążego. Szefem V Oddziału Łączności Konspiracyjnej KG AK – była Janina Karasiówna – pseudonim Brońka, Haka, Hanka. Łączność Na Kraj dzieliła się na dwie samodzielne komórki. Jedna obsługiwała centralne okręgi G.G. i ziemie włączone do Rzeszy (kryptonimy: Zadra, Poradnia-Dworzec Zachodni), a druga (Watra, Wiatrak-Dwarzec Wschodni) obsługiwała tereny wschodnie.

Mietek był chłopcem bardzo energicznym, zdyscyplinowanym, bardzo byстрыm, inteligentnym. Był kurierem na Wschód. Służba kurierska była niezmiernie niebezpieczna. Wymagała wielkiej odporności psychicznej i dużych sił fizycznych. Wprawdzie jechało się często w mundurze niemieckim, bądź w mundurach pomocniczych służb niemieckich i na „dobrych” dokumentach, ale nigdy nie wiedziało się czy w punkcie kontaktowym nie czeka Gestapo, albo litewska, białoruska lub ukraińska policja polityczna. Praca kurierska polegała na przetrucaniu przez granicę specjalnych rozkazów, meldunków, pieniędzy w różnych walutach, czasem ludzi lub broni. Czasem trzeba było dostarczyć coś oddziałowi partyzanckiemu w umówionym miejscu w lesie, a oddział zagrożony musiał zmienić miejsce postoju. Należało go odnaleźć. Niebezpieczeństwo groziło też ze strony bandyckich band radzieckich, które napotykanego człowieka ograbiałały ze wszystkiego i kończyły rozbój strzałem w tył głowy.

- ✓ Mietek początkowo jeździł jako kurier na obszar Lwowski. Później
- ✓ przetrucano go na szlak Warszawa-Białystok. Zameldował, że zaczyna się czuć zagrożony, jakby obserwowany przez Niemców. Dostał jednak rozkaz 12.10.1943 r. przeprowadzenia przez granicę cichociemnego, doktora Alfreda
- ✓ Paczkowskiego. Wyruszyli 12 października pociągiem z Dworca Zachodniego. Pod Małkinią pociąg zwolnił. Wskoczyli. Do Ostrowi Mazowieckiej dotarli wozem. W Ostrowi Mietek miał zaprzyjaźniony dom w którym przenocowali. Rano przyszedł przewodnik – Kulesza, ze wsi Ugniewo, któremu Mietek wręczył wałek do ciasta i drewniany młotek (w środku tych przedmiotów były misternie wykonane skrytki na pocztę). Przez Ugniewo przebiegała granica między G.G. , a Ostlandem, co ułatwiło przejście nocą do województwa białostockiego. Kulesza miał czekać na nich w umówionej stodole w Ugniewie. Z Ostrowi wyszli przed zmierzchem. Pierwszy szedł Mietek, za nim w odległości kilkudziesięciu metrów Alfred Paczkowski. Nadjechało na rowerach dwóch graniczników. Minęli ich. Kiedy dochodzili już do Ugniewa ujrzeli zbliżających się tylarierą sześciu graniczników. Jeden z graniczników –

ruska obok

2
11/2-11

rowarzysa zawrócił, podjechał do Mietka, żeby go niby wylegitymować. Zaczęła się strzelanina. Mietek zginął. Paszkowski ranny zdołał uciec. Mietek został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Virtuti Militari V klasy.

13 października w rocznicę jego śmierci żyjący jeszcze kurierzy co roku jeżdżą do lasu koło Ugniewa gdzie Niemcy zakopywali zabijanych Polaków. Na pagórku postawili krzyż, bez tabliczki, bo nie mają pewności czy w tym miejscu leży Mietek. Składają kwiaty, zapalają świece, modlą się. Kurierzy wpadali często. W 1943 r. w ruinach warszawskiego Getta zostali rozstrzelani:

- ✓ Wanda Stefania Fillerowa – pseudonim Dziunia odznaczona Krzyżem
- ✓ Walecznych i Virtuti Militari, Emilia Wojdełło – pseudonim Liwia, a Halina
- ✓ Stojnowska – Jordan pseudonim. Helena została rozstrzelana na podwórku więziennym w Małkini. W tym samym roku w samoobronie zginął Andrzej
- ✓ Kordowski pseudonim Antek. Z Dworca Wschodniego zginął w czasie służby
- ✓ Zdzisław Santer pseudonim Stefan, Aleksander Nawrocki pseudonim Leszek. Z Dworca Zachodniego zginął Jerzy Niemira „Jaś”. Z tzw. „Bacówki” Janusz Bazalli „Misza”, „Inka”, „Jerzy”. W czasie powstania warszawskiego walcząc w „Czata 49” zginęli kurierzy: Ryszard Jaźwiński „Sewer”, „Adam”, „Stanisław” Stanisław Zięba, „Lech” Leszek Klimczak, „Rych” Ryszard Waliński.

Cześć Ich pamięci. Cześć pamięci tym wspaniałym dziewczętom i chłopcom, którzy życie swoje oddali za życie innych. To jest najważniejsza rzecz, najważniejsze przekazanie: oddać życie za Kogoś.

- ✓ Informacje pochodzą od porucznika Marka Gadomskiego, wieloletniego kuriera Dworca Wschodniego.

Opracowała Wanda Dramińska.

Wanda Dramińska

ŻŁBIETY ZAWACK







Sztandar

Zarewade
zakubianin

III
12-12

We wrześniu 1992 r. odbył się w Polsce Światowy Zjazd Lotników Polskich. Lotnicy kombatancki w ilości ponad ośmiuset przybyli z różnych zakątków świata. Na placu im. marszałka Piłsudskiego odbyła się niecodzienna uroczystość. W obecności prezydenta Lecha Wałęsy, prezydenta na obczyźnie Ryszarda Kaczorowskiego, w obecności marszałka lotnictwa brytyjskiego Johna Grandy i wice-marszałka RAFu, Polaka Aleksandra Maiznera nastąpiło przekazanie sztandaru Polskich Sił Powietrznych lotnikom - Orlętom z Dębina. Sztandar był dotąd przechowywany w Instytucie gen. Sikorskiego w Londynie. Historia jego powstania jest naprawdę niecodzienna i urzekająca.

Kapitan pilot Jan Hryniewicz, wilnianin, który przez Rumunię dostał się na Zachód do Wojska Polskiego we Francji postanowił zwrócić się do matki z prośbą, ażeby w Wilnie został wyhaftowany sztandar dla polskich lotników poświęcony w Ostrej Bramie i przesłany na Zachód. Projekt sztandaru opracował wspólnie z podchorążymi lotnictwa Kazimierzem Karaszewskim i Zbigniewem Hojdą. Na awersie miała być Matka Boska Ostrobramska a na rewersie godło dęblińskiej Szkoły Orląt i napis: „Wilno 1940. Miłość żąda ofiary”. Projekt sztandaru dotarł skomplikowanymi drogami z Francji do Wilna w styczniu 1940 roku. Doktor Wasilewska-Świdowa zwróciła się do księdza Kucharskiego o pomoc, bo przecież taki sztandar wymaga adamaszku, jedwabiu, srebrnych i złotych nici, a więc tych rzeczy, których w Wilnie było wtedy brak. Ksiądz Kucharski powołał komitet, do którego weszła doktor Wasilewska-Świdowa i matka projektodawcy, Emilia z Huwałtów Hryniewiczowa. Obliczono wstępnie koszt takiego sztandaru, miało to kosztować około 3000 litów, a więc suma olbrzymia, zarządzono więc składkę i zebrano te pieniądze. Pieniądze to jeszcze nie wszystko. Ksiądz Kucharski zwrócił się do arcybiskupa Jałbrzykowskiego, a ten swoimi drogami poprzez znajome jakieś poselstwo w Kownie sprowadził nici złote, srebrne, jedwab i adamaszek z Berlina. Haftowano sztandar w dwóch pracowniach: u sióstr Benedyktynek (których przełożona siostra Maria Imelia Neugebauer ukończyła Akademię Sztuk Pięknych w Rzymie) i w Zakładzie pod wezwaniem św. Kazimierza przy ul. Mostowej. Siostra przełożona Imelia miała pieczęć nad artystycznym wyrazem sztandaru.

Sztandar gotowy należało teraz dostarczyć na Zachód. Właściwie dwa sztandary, bo jeszcze był jeden sztandar ocalony, uratowany z klęski wrześniowej: sztandar 81 Pułku Strzelców Grodzieńskich. Sztandar dla polskich lotników przewiozła z Wilna do Kowna mieszkanka Kowna, Genowefa Stankunowiczówna, członek ZWZ o pseudonimie „Gienia”, natomiast sztandar 81 Pułku Strzelców Grodzieńskich przewiózł Józef Majewski (ps. „Literat”), redaktor wychodzącej w Kownie gazety „Dzień Polski”. Paczki ze sztandarami dotarły do Kowna w połowie sierpnia 1940 r. Przejął je „Herman”. Był to kapral podchorąży Daszkiewicz, który miał kontakt z japońskim konsulem w Kownie. Konsul japoński Sugihara zgodnie z wcześniejszym ustaleniem przewiózł oba sztandary w bagażu dyplomatycznym

do Berlina. Z przewiezieniem do Londynu mieli Polacy radzić sobie sami. Z ataszatu japońskiego w Berlinie paczkę przyjął przybyły ze Sztokholmu major Rybikowski, który w towarzystwie kuriera dyplomatycznego japońskiego powrócił do Sztokholmu. Tu już nie było żadnych trudności z przesłaniem sztandarów na Zachód.

Francja już padła. Był rok 1941, 16 lipca. Na lotnisku w Swinderby koło Newark, w bazie lotnictwa bombowego RAF, odbyło się uroczyste przekazanie wileńskiego sztandaru Polskim Siłom Powietrznym. Do bazy lotnictwa bombowego RAF przybyły dziesięcioosobowe delegacje ze wszystkich 13 polskich dywizjonów bojowych. Byli i goście: prezydent Rzeczypospolitej Władysław Raczkiewicz, naczelny wódz gen. Władysław Sikorski i dowódca Royal Air Force generał Portal. Uroczystość rozpoczęła się od poświęcenia sztandaru przez księdza biskupa polowego Józefa Gawlinę, po tym przystąpiono do wbijania w drzewce pamiątkowych gwoździ. Pierwszy gwóźdź wbił prezydent Raczkiewicz, ostatni kapitan Hryniewicz. Zgodnie z ustaleniem przebiegu ceremonii, kapitan Hryniewicz, po wbiciu tego ostatniego gwoźdź miał wręczyć sztandar mistrzowi ceremonii pułkownikowi Kwiecińskiemu, który miał go z kolei przekazać generałowi Sikorskiemu. Ale nastąpiło maleńkie ceremonialne nieporozumienie. Kapitan Hryniewicz oddał sztandar generałowi Lucjanowi Żeligowskiemu, ten zaś ze słowami „Litwa słowiańska Polsce słowiańskiej” wręczył sztandar - relikwię generałowi Sikorskiemu. Nastąpiła lekka konsternacja wśród dostojników. Dalszy przebieg ceremonii był zgodny z programem. Naczelny Wódz przekazał sztandar inspektorowi Polskich Sił Powietrznych, generałowi Ujejskiemu, który następnie oddał go dowódcy dywizjonu bombowego 300. Odtąd sztandar wędrował kolejno do wszystkich dywizjonów, przebywając w każdym 3 miesiące. Z całą pewnością kapitan Hryniewicz specjalnie chciał podkreślić, wyeksponować Wilno i dlatego wręczył sztandar generałowi Żeligowskiemu. Za swą zuchwałość kapitan Hryniewicz został osadzony na jeden dzień w areszcie.

Kapitan Hryniewicz latał w 304 dywizjonie bombowym Ziemi Śląskiej. Przeżył wojnę, po wojnie wrócił do kraju i ostatnie 10 lat życia spędził wśród podchorążych dęblińskiej Szkoły Orłał, którzy udzielili mu gościny i otoczyli opieką. Awansowany był do stopnia podpułkownika.

Wanda Dramińska

Bibliografia

- Ksiądz Kazimierz Kucharski „Konspiracyjny ruch niepodległościowy w Wilnie”
- Longin Tomaszewski „Kronika wileńska 1939-1941”
- „Polska Zbrojna” 27.09.1992

*Swobodny Jani Profesor
Wanda Dramińska 9 VI 98*



ÓW MAZOWIECKA

Ugniewo 0,83

Pieńki

Skaly

Biel

Sagajle

ira Babownica

IV Korespondencja

1939



MEMORIAL

General Marii Wittek

FUNDACJA

Archiwum Pomorskie Armii Krajowej
ul. W. Garbary 2, tel. 65-22-186
87-100 TORUŃ

Toruń 6 II 2001 r.

Pani Wanda Bogusławska-Dramińska
ul. Żeromskiego 4 E m 4

01-861 Warszawa

1.dz.235/WSK/2001

Szanowna Pani,

W imieniu Pani Profesor po raz kolejny dziękuję za przesłane przez Panią materiały. Jak zwykle zostaną one, dołączone do Pani teczek, a część z nich (biogramy kapral Stefanii Burak, Marii Czaińskiej i Haliny Drucko-Podbereska) posłuży jako karty informacyjne. Cieszę się bardzo, że Pani tak chętnie z nami współpracuje i poświęca swój czas na przygotowywanie materiałów o walczących Polakach. Mam nadzieję, że będzie ich Pani przysyłała do nas jak najwięcej, zwłaszcza tych dotyczących kobiet.

Niedawno odwiedziła naszą Fundację pani Jadwiga Januszczak z d. Stankiewicz, która w czasie wojny działała w AK w obwodzie Lida w okręgu Nowogródek, obecnie mieszka w Gdyni. Bardzo zainteresowały ją przesłane przez Panią informacje na temat Choryń Bronisławy, łączniczki i sanitariuszki AK, która zginęła z rąk NKWD utopiona w rzece Żyźmie. Pani Januszczak chciała nawiązać z Panią osobisty kontakt i dlatego pozwoliłam sobie dać jej Pani adres. Mam nadzieję, że nie sprawiłam tym Pani żadnego kłopotu.

Jeszcze raz bardzo dziękuję za tak miłą współpracę Pani z nami i oczekuję dalszych przesyłek. Załączam serdeczne pozdrowienia od Pani Profesor, od siebie i od wszystkich pracowników Fundacji.

Z wyrazami szacunku

Donata Kromp
mgr Dorota Kromp

Dokumentalistka Archiwum WSK.

(d.H.)
PANI WANDA
DRAMINSKA prona
O telefon -
834 32 74
25.07.01 G.G.

odpisać
na list do E.Z.
h.de. 3600.

kopie

Toruń 3 I 2001 r.

FUNDACJA
Archiwum Pomorskie Armii Krajowej
ul. W. Garbary 2, tel. 65-22-186
87-100 TORUŃ

Pani Wanda Bogusławska-Dramińska
ul. Żeromskiego 4E m 4
01-861 Warszawa

1.dz.0002/WSK/2001

Szanowna Pani,

W imieniu pani profesor Elżbiety Zawackiej dziękuję za przesłane przez Panią informacje na temat kobiet działających w AK: Izy Godlewskiej, Bronisławy Choryń, Ireny Baranowskiej, Sabiny Kalinowskiej i Janiny Stefko. Na ich podstawie opracowałam karty informacyjne, które wzbogaciły zasób naszej kartoteki.

Cieszy nas bardzo współpraca Pani z naszym archiwum i liczymy na to, że w miarę możliwości będzie Pani przysyłać do nas zebrane czy też opracowane przez Panią materiały. W naszym archiwum jest założonateczka osobowa na Pani nazwisko o nr inwentarza. 1037/WSK zawierająca korespondencję z Panią i jakże ciekawie opracowane wspomnienia-relacje o Mietku Zieleniewskim, Janie Kazimierzu Mackiewicz i Wandzie Staszynskiej-Bosackiej. Przeczytałam je z wielkim zainteresowaniem. I jednocześnie pragnęłabym dowiedzieć się czegoś na temat Pani działalności w czasie wojny. Czy nie zechciałaby Pani opracować własnej relacji (pozwolę sobie dołączyć schemat relacji WSK, który być może okaże się pomocny) i przysłać jej do nas? Byłoby to cennym uzupełnieniem Pani teczki.

W jednym ze swoich wcześniejszych listów do Pani Profesor pisze pani, że młodzi ludzie są teraz nastawieni na pieniądze i nie interesują się historią. Jest w tym niewątpliwie dużo prawdy, ale na szczęście jest jeszcze młodzież dla której historia nie jest obojętna - świadczą o tym znaczne ilości studentów historii i jej absolwentów. Ja sama skończyłam historię w zeszłym roku i z przyjemnością rozpoczęłam pracę w fundacji, gdzie mam okazje zajmować się tym co mnie pasjonuje. Widzę, że dzięki pracy takich osób jak Pani przeszłość nie zostanie zapomniana i świadectwo o tym co było zostanie przekazane następnym pokoleniom.

Na zakończenie dołączam serdeczne noworoczne życzenia i liczę na dalszą współpracę Pani z naszym archiwum.

Z wyrazami szacunku

mgr Dorota Kromp
Dokumentalistka Archiwum WSK

W-ka 17.11.2000

Wpłynęło dnia 21.11.
Ldz 3600 / KSK / RED / 2000

Banko Szwajcarski i banko Kochowa
Pani Profesor.

Przełam Szwajcarskiej Pani 5 nagraai
Oczywiście wszystkie dotyczy Gwosdz Aschdauich
i Kierung Im Synon i Cerek. Mimo tego, ze
mam nióstro ksiazek historycznych (pisane
sz fmer żołniny - ^{lub historykoi} mazzyciu) o kobietach
iżniwraach wiadomości mało. Sfrancdu
u 27 furtu wraion Stefana Batorego bylo
12 kobiet wraion (w tym starszych wraion P)
ale wiadomości o nich skopz. Senkam dalej
i bzok nagrywac i uszytko przez
red,

Dziękuję bardzo za zaproszenie na zjazd ale
niektóre moje zobowiązania nie pozwalają. Proszę
Pan Bóg dać mi to zdolność zbierania wiadomości
i nagrywania - minicam, bo taka "nysiada" i
pomyślano, że tak będzie. A ja coś, dać dać coś
odrazem

Modlę się co noc za Pana,

i z całego serca, dobrego serca

Sciskam serdecznie

Janusza i Kochanę

Wanda Dworkiewicz

P.S. Proszę serdecznie pozdronić całą moją

rodzinę i współpracowników

Wpłynęło dnia 19. X 98

Ldz. 1944/MSU/98

H-tre 8.X.98

Kielce Szanowne i Kielce Droga Pań Profesor!
Dziękuję za panuje i przysłałe materiały. Robi Sz. Pań
wspaniałe roboty. Jak mówili Rzymianie - historia
jest nauką o życiu. Wierzę, że młode pokolenie
nastawia się na "pamięć" a nie na "frązy".
Ale wiem, że i ci pracownicy komunizmu i ci co chcą
tylko ugrać życie. lub ich obywateli czy nawet
się. Historyki historia będzie im potrzebna. Czy, uory
i "Tępy" mi wysiadają. Kąty, uory i co mogą
z przeszłości. Przeszłość Szanownej Pań loco nagralam
jestli chodzi o kamień Kielce - to 4 kamień i dwa
tylko jeden żyje. - Marek Gadomski, to byli moi
mieszkańcy i oczywiście nie wiedziałam o ich pracy kulturalnej.

Życzę Szanownej Pań wiele Łask Stojącej się
zdrowia i pogodę ducha.

z szacunkiem
Małgorzata Dromińska

Wpłynęło dnia 26.6.97

W-wa 22.06.97

L.dz. 1043/2554/97

57

Wielce Szanowna Pani Profesor

Bardzo dziękuję za poświęcenie mi na pośrednictwo
kol. Ewy Łopalewskiej - Rozumowej książki „Święta Poleka
Na Froncie 11-tych Wojny Światowej”

Ze względu na stan zdrowia (ortezę po złamaniu ręki i małą
długą chorobę z krzyżem) nie mogę spełnić współdziałania
z „Komunikatem S.p. gen. Marii Świątek”. Mam trudności nawet
z poruszeniem się po mieszkaniu, kol. Łopalewska zbiera materiały
(moje nagrania „Rozmowa” itp.) i na pewno coś z tego zrobi
Moja numerka wstawiła dziś na poczcie 40 zł na wsparcie
tej wspaniałej akcji. Takie tylko mogę zrobić.

Bardzo Serdecznie Państwu pozdrawiam
i z serca dobre życze

z pozdrowieniem

Paula Dramińska

01 861 Hwa ul Żurawinowa 4 E m 4

L. dr. 1368 / WSK / 98



FUNDACJA
Archiwum Pomorskie Armii Krajowej
ul. Wielkie Garbary 2, 87-100 Toruń
Konto: WTBK II Oddział w Toruniu
10901506-4675-128-00-0
☎ (0-56) 65-22-186

Elżbieta Zawacka
87-100 Toruń, ul. Gagarina 136 m 24
Tel. 517-344

Szanowna Pani

Władze Duszpasterskie

ul. Żeromskiego 4^C / 4

Marszawa

L. d. 1368/USA/98

P. Dravinča

Jorini, 23.06.98

Szanowne Droga Pani,
Dziękuję pięknie za przesłane bardzo
cenne materiały. Założę Panu tęsk,
bo liczę na Pani dalszą współpracę.

P. Wandy Bożek z d. Straszynskiej mm. wci.
listy w Kartotece USK, Pani również,
Informacja o standardzie znalanta na
w terenie 17 fakultetów - jako kierownik
Zakładu wpiślania z wieloma kato-
pistami i porównaniu standardów do bieżącej

Załączam materiały informacyjne
o naszym Memorale Gen. Wami Wittke.
Szczęść obywateli Pani na zyczeniu od p.
Dz. Knoszyńskiej (adres w sprawie)

Przepraszam serdecznie za zdrówienie
i ciekawym me. dalsze materiały

Ślicznie Z poważaniem

PS Wzajemnie o „standardach” w książce S. Strumpp
Wojtkiewicz „Turqarten” HWA 1967r

V Nazwiskowe karty informacyjne

i

T. 1034
Kopie

WSK

PK
WZA

Drammische Wand

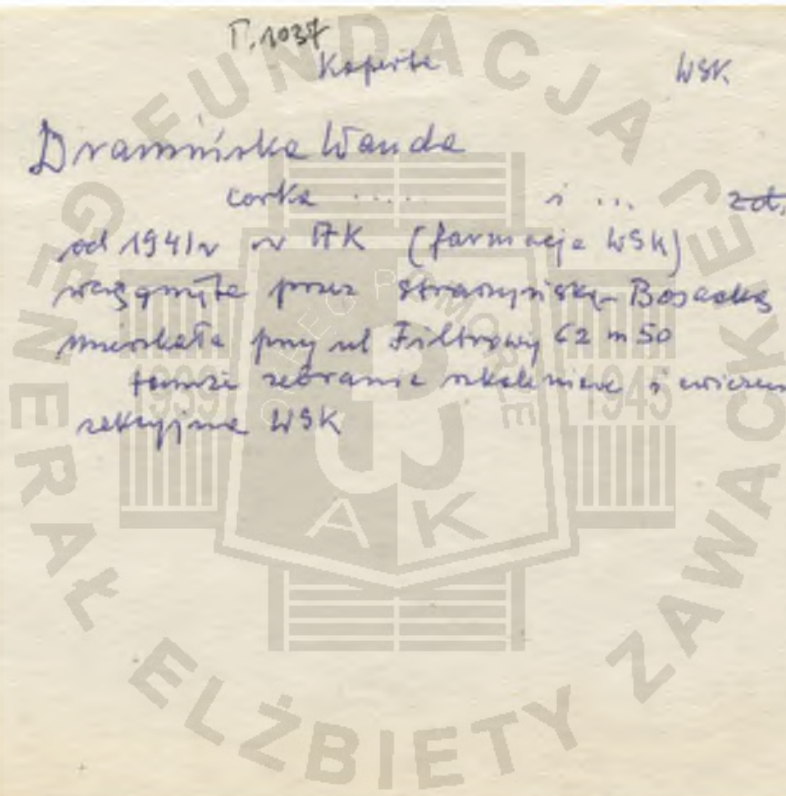
carte i ... zdt. ~~Wiedemannke~~

od 1941 w PK (farmacja WSK)

wzgryta przez strasyniska-Bosacka Wand

miroska przy ul. Filtrowy 62 m 50

famiz sebranie mka mwa 5 wiczenie krajowa
religijna WSK



DRAMIŃSKA Wande

